Przygoda w Radomiu

Władysław Łoziński

Księgarnia Gubrynowicz i Syn, Lwów, 1927

Pobrano z Wikiźródeł dnia 8 października 2025

PRZYGODA W RADOMIU

...Owo tedy takim dziwnym sposobem, jak to już słyszeliście, dostałem się po ośmiu latach ciężkiej żołnierskiej tułaczki na ziemię ojczystą, pod rodzinną strzechę. Że mi tu dobrze było i słodko, że zaznałem wytchnienia i miłego wczasu, o tem już chyba mówić nie potrzebuję; choć sercu przyjemnie to bardzo, przypominać sobie te chwile, najszczęśliwsze pono, jakich zażyłem czasu żywota mego całego.

Musiałem ja się wyspowiadać do słówka z wszystkich przygód moich przed rodziną, która łakomą była opowieści z ust swego opłakanego już dawno członka. «Gadajże Wituś, a gadaj, jak to było, a kędyś się obracał, a jako ci się tam wiodło, a czegoś tam zaznał?» — tak nawoływano ciągle, a Wituś też bajał i bajał, bo miło jest duszy zwierzać się z przebytych przygód i frasunków przed osobami, co

każdego słowa nie jeno uchem, ale jakby sercem chwytają.

Więc tedy na całą długą zimę starczyło tej mojej naracji. Toż jakby dziś jeszcze widzę, jak bywało zasiędziem szerokiem kołem przy kominie, rodzina i mili sąsiedzi — a ja im prawię o mojej aplikacji wojskowej, o regulamentach i artykułach, o kampamentach i polowych obozach, o wielkich bataljach i drobnych potyczkach, w których się bywało, o królu Frycu, jako mnie pod Lowositz klepał po ramieniu, forsztelując pułkownikowi do rangi, gdym dwie armaty austrjackie jeszcze gorące wziął moim plutonem, o straszliwościach wojny i przeróżnych wypadkach żołnierskiego życia.

Tak ich przy tem ognisku wszystkich widzę, jakby tu byli przedemną, choć temu lat pięćdziesiąt z okładem: i matkę moją drogą, jak tuż koło mnie siedząc, oczu swych ze mnie nie zdejmuje ani na chwilę, i rodzica, jak słuchając, siwego wąsa pokręca, i Hanię przy krosnach, jednem uszkiem słuchającą mojej powieści, a drugiem słówek pana Rotnickiego, przyszłego szwagraszka mego. Toż gdym prawił tak rodzinie mojej, zdało mi się nieraz, że to, co im mówię, snem było tylko ciężkim, a nie prawdą; tak nagła a dziwna była ta zmiana losu mojego.

Blisko rok cały tak przesiedziałem w domu, nabywając znowu polskiego i szlacheckiego polerunku po pruskiej edukacji, zaprawiając sobie język do mowy ojczystej, którą sromotnie popsowałem w obcym narodzie. Nie myślałem w tym czasie o sobie, bo prawie nie było i kiedy. Zjeżdżała się codzień prawie z sąsiedztwa bracia szlachta patrzeć na mnie, jak na morskie dziwo jakie, a każdy wypytuje i

ciągnie za język, abym mu też co z moich ciekawości opowiedział. Matka mi też o przyszłości ani słówkiem wspomnieć nie da, usta mi ręką zamyka i tłumaczy:

— Nie trudź ty sobie głowy, Witusiu, i nie frasuj się, jak dalej będzie, byleś wypoczął i pożywił się, bo cię z tej pruskiej żołnierki puszczono jak charta ze smyczy. Takiś ty jeszcze zaschły i znędzniały, że ci jeno siedzieć w domu, a zdrowia doglądać. Chleba nam Bogu dzięki dziś nie brak; nie zawadzasz nikomu, siedźże cicho, niech się tobą matka nacieszy, a nie ruszaj się nawet za próg aż po weselu Hani.

Tak mi matka perswaduje z serdecznej dobroci, ale rozum i ambicja inaczej znowu radzą. Wprawdzieć stan moich rodziców znacznie się polepszył z łaski bożej i z niespodziewanej przedśmiertnej hojności śp. JMĆ Pani podczaszyny Żołyńskiej; fortunka była wystarczająca na życie uczciwe, ale to nie racja była, abym ja, chłop już dojrzały i oficer, podpierać miał piece w domu i próżniacze wiódł życie. Nie było tam zresztą i takiej abundancji w rodzicielskim domu, ot wyraźnie tyle, ile na stanik poczciwy szlachecki przypada. Owo więc na serjo myśleć trzeba było o sobie i szukać zawczasu przyzwoitego opatrzenia.

Już to otwarcie przyznać się muszę, że mi się nieco markotno zrobiło, gdym tak poważnie i gruntownie o własnej przyszłości pomyślał. «Nosiłeś bracie kości po obczyźnie, mówiłem sam do siebie, trzeci krzyżyk ci dobiega, a oprócz rzemiosła żołnierskiego nic nie umiesz i do niczegoś nie sposobny. Zaczynajże teraz nieboże od początku i przegryzaj się przez świat, jako mógł będziesz».

Frasowało mnie to bardzo i nieraz sen w nocy spędzało z powiek, ale czekałem jeszcze z ostateczną decyzją, aż siostrę wydadzą i w domu się już uspokoi.

Zaraz też po weselu uprosiłem ojca na konferencję i zwierzyłem się przed nim, że myślę zakierować jakoś sobą i że proszę go o rodzicielską radę. Proponował mi ojciec, abym przy roli został i wraz z bratem Andrzejem na rodzinnym zagonie osiadł, a już innego chleba nie szukał w świecie. Nie mogłem być powolny tej woli ojca, która raczej z serca niż z rozwagi płynęła, bo ano coby ze mnie był za gospodarz? Człek znał się tylko na koniu i na broni, na egzercerunku i na artykułach wojskowych, a lichoć tam z gospodarza, co się w obozie chował, a całą ekonomję na tem zasadzał, że pszenicę od żyta, zbliska bardzo opatrzywszy, odróżnić umiał. Dziękuję ja tedy ojcu pokornie za jego dobroć dla mnie i mówię:

— Nie usiedzę ja już chyba na grzędzie, a choćbym i usiedział, z kiepska po dragońsku będę gospodarzył. Nie chcę być zawadą ani tobie, panie ojcze dobrodzieju, ani Andrzejowi, a chleb też darmo jeść i bohaterstwa pruskie sobie wspominać, sąsiadów niemi bawiąc, nie przystoi mi wcale. Czegom już raz nadgryzł, niechże sobie tego dogryzam dalej. Żołnierkę to już rozumiem, i ta mi sprawnie idzie, bo mnie w niej dobrze Niemcy ćwiczyli, niechaj tedy ona mnie nadal żywi i opatruje. Alboż to w naszej Rzeczypospolitej żołnierz już nie znajdzie miejsca w szeregu? na biedęby to było, gdybym w własnym, rycerskim kraju nie miał tego, com miał pod cudzemi znaki! Nie żądam niczego od was, bo sami niewiele macie;

jeśli mnie łaska wasza cząstką jaką fortunki opatrzyć chciała, to się jej zrzekam i na augmentację Haninej oprawy przeznaczam. Mam moje małe porządki żołnierskie, trochę też i talarów znajdzie się w ładownicy, co się tam uciułało z żołdu; umiem przestać na małem, bom się tego miał czas przyuczyć, a oficerską rangę wykołatam już sobie jakoś. Dajcież wy mi tylko błogosławieństwo wasze, a będę dobrze opatrzony...

Certowali się ze mną o to długo: i ojciec i matka i brat Andrzej, doradzając, abym już żołnierkę moją zawiesił na kołku, jako to teraz w Polsce chleb niewdzięczny, i jako dobrego wakansu nie znajdę.

— Części twojej w tem, czem nas Bóg obdarzył — mówił ojciec — ty się nie odrzekaj, boś nam żadnym ciężarem nie jest, a jeno to sobie weźmiesz, co ci się jako krwi naszej po ludzkiem i Bożem prawie należy. Wy sobie z Andrzejem siedźcie na Zadębiu, nam starym opatrzenie dożywotnie obmyślawszy. Połowa Zadębia twoja, a połowa Andrzeja; Hania niczego już nie potrzebuje, bo oprawę już dostała, jako na szlacheckie dziecko wedle uczciwości stanu przystoi; a Rotnicki nie brał jej dla fortuny, bo jest bogaty i sto razyby nas kupił, a jeszcze dworno żyć z czegoby mu zostało.

— Kiedy już koniecznie sługiwać chcesz dalej w rycerskiem rzemiośle — ozwał się brat Andrzej — to podjeżdżaj pod chorągiew pancerną. Tyle grosza znajdzie się w domu, abyś się wkupił w towarzystwo i stawił na rejestr, czego żądać będą. W chorągwi JW. p. Hetmana Polnego jest właśnie wakancja, bo Towarzysz JMC. pan

Pożarko chce ustąpić z towarzystwa. Jakoś to będzie z większą estymą i zachowaniem u ludzi, kiedy będziesz Towarzyszem, a stać cię na to. Jako patentowany oficer pruskiego króla niedługo, a będziesz namiestnikiem, a kto wie, czy nie chorążym, a to już ranga i splendor rycerski niemały.

Rada w radę stanęło przecie na tem, że czy tu czy tam, ale zawsze wojskowo służyć będę. Zrobiliśmy tranzakcję z Andrzejem o spłatę mojej części Zadębia, przyczem serdecznej kłótni i braterskiego certowania się było coniemiara, bo mi więcej dawał i wziąć zmuszał, niźlim ja wziąć chciał. Narzucił mi wkońcu Andruś sumę jak dla mnie bardzo znaczną — i część zaraz w gotowiźnie wypłacił, abym zapaśniej w świat mógł wyruszyć.

Gdyśmy już takową tranzakcję familijną spisali, chciałem się natychmiast wybrać do Warszawy, aby wcześnie pochwycić jaki wakans w wojsku i zaprezentować się Hetmanowi, a jak dobrze pójdzie i samemu Królowi Jegomości. Powstrzymali mnie od tego ojciec i Andrzej, radząc, abym zaczekał dni kilka, bo niebawem przyjedzie do Zadębia JMC. pan Pożarko, Towarzysz chorągwi pancernej Hetmana Polnego, którego chorągiew wysłała jako deputata do egzakcji. Wstrzymałem się z wyjazdem dość ochotnie, bo mi ta myśl wdzięczna była, że po tylu latach obcej służby przecież pod staropolskim, rycerskim i jak mawiano poważnym znakiem służyć będę, i że się zatytułuję Towarzyszem Pana Hetmana.

Jakoż istotnie w tydzień potem przyjechał Imć pan Pożarko, towarzysz pancernej chorągwi i deputat do

egzakcji. Ledwie wjechał na podwórzec, już zaraz na pierwszy widok jego pomyślałem, że to nie dla mnie, chudopachołka, rzecz piąć się do towarzystwa. Zajechał ładnym karabanem i z dwoma pachołkami, z koniem wierzchowym u troku, który okryty był kutanem pomarańczowym tkanym. Sam był ubrany w kosztowny żupan, przy boku miał szablę, bogato oprawną, i sajdak z szczerego srebra, na plecach najprzedniejszą burkę krymską, podbitą pięknym atłasem niebieskim.

Przyjmowaliśmy go w domu z wielką rewerencją, jak to na Towarzysza pancernego znaku przystało, a Andrzej zaraz mu wypłacił podatek, który z naszej wsi na chorągiew jego przypadał. Dwa dni zabawił u nas pan Towarzysz, a przez ten czas miałem sposobność zasięgnąć dobrych informacyj o służbie w chorągwi. Aż mi się straszno zrobiło takiej szalonej imprezy, której mi ojciec i Andrzej chyba na to doradzali, aby mnie już od wojska chyba na zawsze odwieść i na roli osadzić.

Nie wiedziałem ja tego, w Polsce bardziej cudzoziemcem niż swojakiem będąc, co to za wielki panicz bywał taki każdy Towarzysz i jakie pod chorągwią rządziły zwyczaje. Zdawało mi się, że u nas tak, jak gdzieindziej: wojsko wojskiem, a żołnierz żołnierzem, a nie jakowymś dostojnikiem wielkiej i pańskiej powagi. Śmiał się też ze mnie prosto w oczy pan Pożarko, gdy się z nim w dyskurs wdałem.

— Panie deputacie — mówię mu — chciałbym podjechać pod chorągiew, bo mi to radzą pan ojciec i brat Andrzej.

— Bardzo Waćpanu pochwalam taką ochotę — odparł p. Pożarko — a właśnie dobra ku temu nadarza się okazja. Jest wakancja na jednego Towarzysza w chorągwi naszej, możesz Waćpan tedy wykonać swój zamiar.

— A jakże się tam dostać? — pytam.

— Dla Waćpana rzecz to nie będzie zbyt trudna, boś już i wojskowy i z zacnego szlacheckiego domu pochodzisz. Cała rzecz p. Hetmanowi się przymówić, dać się towarzystwu zaprezentować, a potem coś na regestr stawić...

— A ileżby to potrzeba stawić na regestr towarzyski?

— Niewiele, — odparł p. Pożarko — za jakie 300 czerwonych mógłbyś Waćpan pod znak podjechać — to prawie za pół darmo...

— A ileż taki towarzysz żołdu pobiera? — zapytałem.

Uśmiechnął się na to zapytanie p. Pożarko i rzecze:

— Już to znać zaraz, że Waszmość w Polsce nie bywały, i że z niemiecka rzecz tę konsyderujesz. Bierzeć tam jakąś laffę towarzysz, ale o niej się nawet nie mówi, bo to przy chorągwi zostaje. Masz Waćpan wiedzieć, że towarzysz nie dla żołdu, a dla honoru rycerskiego służy. To też towarzysz sowity nietylko, że o nędzną laffę nie stoi, ale jeszcze płacić musi swemu pocztowemu, bo kiedy służysz pod chorągwią z prezencją, to masz Waćpan wystawić jednego pocztowego, a kiedy bez prezencji, to dwóch i to z końmi i z całym moderunkiem.

— Masz tobie towarzystwo! — pomyślałem sobie, a potem tak dalej pytam JMć Pana Pożarki:

— A jakowyż u was awans pod chorągwią?

— Jako towarzysz z młodszego końca o awansie Waszmość i nie myśl nawet, — odpowiada mi na to — chyba, żeby cię zczasem namiestnikiem w chorągwi obrano. Co wiedzieć zresztą, jeśli Waszmość ustawnie z aktualną rezydencją służyć zechcesz, to być może, że kiedyś i chorągiew nosić będziesz. Ale na co Towarzyszowi awansu, kiedy to splendor znakomity i powaga dostojna sama przez się...

— A któż wam rozkazywać ma prawo, Mości panowie? — pytam dalej.

— Rozkazujemy sami sobie, po szlacheckiej i rycerskiej równości.

Takiego wojska ja nie widziałem jeszcze, gdzieby człowiek sam sobie był starszyzną i komendantem, więc też wypatrzyłem się na p. Pożarkę dużemi oczyma, a on w śmiech, i ojciec mu mój wraz z Andrzejem w śmiechu tym sekundują. Nareszcie rzecze p. Towarzysz.

— Nie bądźże Waćpan krzyw za to, że się śmieję; ale Waćpan na obcej ziemi i pod tyrańskiemi rządy wzrosły, nie znasz naszych rycerskich zwyczajów polskich. Wiedzże Waćpan, że powaga każdego Towarzysza tak jest wielką, iż on drugim rozkazywać i przewodzić przywykł, a nie drudzy jemu. Towarzysz nie służy pod nikim, jak to już samo jego nazwanie okazuje; nie służy pod Królem Jegomością, pod panem Hetmanem, ale z Królem Jegomością i z panem Hetmanem. Na to on i towarzysz. Jakoż, jeśli o starszeństwo chodzi, to towarzysz starszym jest od wszelakiego oficera innych autoramentów, starszy nawet od pułkownika, który nawet z

całym swym regimentem pójść może pod komendę towarzysza.

— A jakież u was regulamenta?

— Jakie regulamenta? My mamy nasze artykuły na wojnie tylko, a o żadnych niemieckich regulamentach nic i wiedzieć nie chcemy.

— A jakoważ komenda i egzercerunek?

— Te wasze szarżerunki, egzercerunki, regulamenty i krygsrechty to dobre jest dla żołnierza nieszlacheckiej kondycji, i znajdziesz to Waćpan wszystko w Polsce tylko przy wojsku cudzoziemskiego autoramentu, ale nie pod chorągwią. Chcesz Waćpan wiedzieć, jaka u nas komenda, to ci to w dwóch słowach wyłożę: Pierwsze tempo: N a b i j! drugie tempo: Z a b i j! Owo masz Waćpan komendę pancernego znaku!

— Nabij! Zabij! — powtórzyłem w duchu. — A no, chciałbym cię widzieć tak w regularnej batalji, biedybyś zjadł, czybyś ty nabiwszy, zabił też kogo!

Po takim egzaminie wybiłem sobie z głowy podjeżdżanie pod znaki poważne, widząc, że to zabawa rycerska nie dla mnie, ale dla wielkich panów i magnatów. A zresztą, gdyby mię i stać na to było, to jużem ja w innej podchował się szkole i innej żołnierki był zwykły, aby się do tej swobodnej i butnej zabawy przydać. I przypomniało mi się naraz, jak to mój oberszter, pan Koggeritz, kiedy który z oficerów subordynacji ściśle nie chował, w adjustunku jaką fanaberję okazywał, i fantazją swoją się rządził, takiemi słowy go karcił:

— Nauczę ja cię porządku, *du polnischer Towarisch!*

Zadumałem się tedy z frasunkiem i pytam po chwili p. Pożarki:

— Rozumiem ja teraz Waćpana, panie towarzyszu, i nie dla mnie to chudopachołka taka zuchwała impreza, podjeżdżać pod znak pancerny albo husarski. Ale powiedzże mi Waćpan, czyż już dla ubogiej krwi szlacheckiej niema w Polsce sposobu służyć rycersko? bom się Waszą tą opowieścią o znakach pancernych niepomału skonsternował.

— Masz Waćpan jeszcze wiele innych pułków, w których uczciwy szlachcic służyć może wojskowo Rzeczypospolitej. Masz Waćpan lekką kawalerję i jazdę przedniej straży, a skoro ci się takiej samej niewoli zachciewa, jakiej Waćpan zażyłeś pod komendą pruską, to ją znajdziesz i tutaj w pułkach cudzoziemskiego autoramentu.

— Jadę ja tedy do Warszawy, jako mowa była, panie ojcze! — mówię do mego rodzica i do Andrzeja.

— Jeżeli Waćpan chcesz jechać za wakansem jakim wojskowym, — ozwał się na to p. Pożarko — to mu nie radzę jechać teraz do Warszawy, ale do Radomia, bo tam teraz właśnie odbywa się komisja. Na radomskiej komisji prędzej co zrobisz, niż w Warszawie.

— A co to jest? ta radomska komisja? Powiedzcież mi, bo widzę już, że na to przyszło, iż ja cudzoziemcem jestem w własnym kraju.

— Jest to trybunał do spraw wojskowych i skarbowych. Znajdziesz Waćpan tam mnóstwo oficerów polskiego i cudzoziemskiego autoramentu, bo na komisję tę każdy

regiment i każda chorągiew wysyła swego plenipotenta. Tam się załatwiają rozmaite sprawy wojskowe, toż tam najłatwiej się dowiesz Waćpan, gdzie jaki wakans, lub kto ma jaki stopień do sprzedania.

Nie mogąc na mnie tego wymóc żadnym kształtem, abym zaniechał moich żołnierskich intencyj, zgodzili się wkońcu na radę p. Pożarki ojciec mój i Andrzej, to też zdecydowałem się jechać zaraz do Radomia i szukać tam opatrzenia. Zabrawszy tedy z sobą patenta moje pruskie, wyjechałem w kilka dni do Radomia.

Odbyłem podróż konno (bo mi Andrzej podarował dwa dzielne konie własnego swego chowu), a pachołek wiózł za mną w małej kałamaszce wszystko, co mi do drogi potrzebnem było. Kiedy stanąłem w Radomiu, już się komisja od tygodnia była rozpoczęła, a zaraz na samym wjeździe do mieściny spotkałem mnóstwo oficerów rozmaitej broni i rozmaitego autoramentu, kręcących się tam i sam to po ulicach, to koło zamku, w którym trybunał zasiadał.

Zjazd był wielki, a mieścina bardzo mała; w gospodach ścisk taki, że i szpilkibyś już nie wetknął nigdzie; prywatne stancje zajęte przez pp. komisarzów i plenipotentów — zgoła kłopot wielki, gdzie się pomieścić z końmi i z pachołkiem. Nareszcie żydek jakowyś wynalazł mi kwaterę na Jedlińskiem przedmieściu, w małej i starej chałupinie jakiegoś szewca — i tam się też roztasowałem, jak można było. Szukając kwatery po miasteczku, zauważałem, że mało kto prócz palestrantów chodził nie po wojskowemu, i że kędyś spojrzał, wszędy się przewijały mundury, a

między niemi też i cudzoziemskie — to też z tej racji i ja umyśliłem ubrać się w mój dawny mundur pruski, który na wszelki wypadek kazałem był zapakować do tłumoka.

Wstąpiłem tedy do balwierza i kazawszy się gładko ostrzyc, bo już nie było czasu dać sobie harcop upleść po przepisie, ubrałem się w mój niebieski mundur z ponsowemi ranwersami, w sztylpy z ostrogami, przypasałem szpadę, wziąłem kapelusz i dragońskie rękawice z karwaszami — i tak z dobrą miną wyszedłem do miasta, aby się rozpatrzyć i zasięgnąć języka. Kędy spojrzeć było, wszędzie przewijały się najrozmaitsze mundury, to autoramentu cudzoziemskiego, to poważnego znaku, nawet i generałów nie brakło, choć to już byli tylko generałowie od pustego regimentu, jak to ongi nazywano, to jest tacy, co za jakimś tam uproszonym patencikiem ubierali się w czerwone fraki z grubemi złotemi szlify, a nie komenderowali nigdy i nikim, chyba przy pełnej butelce lub w gronie gospodowych konwersantów...

Nigdziem się tak dobrze nie przekonał, jako prawdą najrzetelniejszą było ono stare przysłowie polskie: «dwa dragany a cztery kapitany», jak tu na tej radomskiej komisji. Kiedym był jeszcze w służbie pruskiej, dziwiłem się nieraz, że w każdem niemal wielkiem mieście po gospodach spotykałem czerwone kurty i złote bandolety, a każdy co w nich chodził, zwał siebie polskim oficerem. Prawdać najczęściej taki pan oficer polski i słówka po polsku nie umiał, ale patent miał, jako należy, i oficerem polskiego króla Jego Mości się tytułował. Najczęściej bywali to Włosi, ludzie nie najczystszej konduity,

kartownicy, a z gęsta i pospolite szalbierze, co sobie w Dreźnie lub Warszawie jakiemiś praktyki wyrobili tytuł wojskowy, nigdy prochu nie wąchawszy, a nawet szeregu nie widziawszy.

Im dalej w las, tem gęściej drzew — toż w samej Polsce tyle tych oficerów widzieć było można, że gdyby na jednego choć tuzin pocztowych przypadał, w całym chrześcijańskim świecie nie byłoby takiej okrutnej wojskowej potencji, jako ta nasza Rzeczpospolita biedna. Ano tymczasem przeciwnie to było. Oficera huk, a żołnierza niemasz, szlif i felcechów jako gwiazd na niebie, a muszkieta ledwo na pokaz; chorągiew od srogiej biedy ledwo pokryta, na półkopie szkap mizernych stoi, a ma sztab i untersztab cały; w regimencie pieszym, co ledwie stu muszkietami sterczy, tuzin generałów, brygadjerów i oberszterów. Owo ten pan generał amplojowany, ten nie amplojowany, ten forsztelowany, ten nie forsztelowany, ten sobie pułkownikiem bez pułku, a ów kapitanem bez kompanji, ten agreże, ten tytularny, ów ledwo że sobie samemu jest komendantem, konia niema, a chyba na papierze i na rangliście jeździ! Dajże ty takiemu oficerowi szponton do ręki, ani go wziąć nie umie, ledwie że felcechem opasywać żebra jako tako potrafi, i salutę zna, gdy mu warta broń skweruje!

Rozmyślając sobie tak markotno nad takim mizernym stanem polskiej broni, szedłem ulicą ku zamkowi i pytam po drodze jakiegoś młodego palestranta, gdzie się oficerowie schodzą i gdziebym się mógł z nimi skomunikować?

— Idź Waćpan, panie oficerze, do zamku — mówi mi zapytany — tam w lewej oficynie jest winiarnia Mursza, a tam Waćpan całe towarzystwo znajdziesz... A gdybyś tam Waćpan nie znalazł jeszcze którego z panów oficerów, to sadź już Waćpan napewno i jak w dym do pana majora Sabi, a znajdziesz go tam Waćpan przy tryszaku albo przy m a k a o.

Podziękowałem palestrantowi i poszedłem do winiarni Mursza. Ledwie drzwi odchyliłem i rozglądnąłem się po pokoju, w którym wśród ogromnego hałasu krzepili się winem oficerowie najrozmaitszej broni, aż tu nagle słyszę wołanie z drugiego końca izby:

— Hola! Narwoj k a m e r a d, a ty tu co robisz!?

Patrzę zdziwiony, ktoby mnie znajomy wołał i ku niemałej uciesze mojej poznaję kapitana Deibla. Był zaś ten Deibel de Hammerau szlachcicem saskim, ale już w Polsce zrodzonym i podczas ostatniej wojny poszedł na ochotnika jako sztucjunker do artylerji saskiej. W bitwie pod Leuthen, atakując baterję, sam go do niewoli wziąłem, — a że był chłop szczery i serdeczny i po dobrej połowie rodak, więc mu jako jeńcowi niejedną dobrą usługę oddałem i przyjaźń jego sobie zaskarbiłem. Ujrzawszy mnie tedy, a zdziwiony, żem tu w Radomiu spadł jakby z nieba w całym pruskim moderunku, rzucił mi się w ramiona i począł mnie ściskać i całować z wielkim afektem.

Jakoś mi się już weselej zrobiło, gdym dobrego znajomego spotkał i zaraz się do Deibla i jego towarzyszy przysiadłem; a był tam z nim i Curtius, Hanowerczyk, ten sam, co później był pułkownikiem regimentu pieszego pod

szefostwem p. Pułaskiego, i Wedelsztedt, który właśnie wstępywał do wojska. Deibel, że był bardzo zdolny żołnierz i na wojnie się nieraz odznaczył, nim go od dymiącej się jeszcze armaty jeńcem chwyciłem i że miał łaskę u dworu i protekcję, został kapitanem bez opłaty i szedł do Kamieńca Podolskiego, gdzie się znajdował jego regiment artylerji.

Stanął na stole węgrzyn, o którym pan Mursz na honor przysięgał, że Tokaj widział, i zaczęła się pogadanka, w której ja z moich zamiarów się spowiadając, zasięgałem rady i objaśnień, jak mi postąpić należy. Wedelsztedt powiada mi, że właśnie kupił sobie kompanję i że zapłacił za nią 12.000 złotych, bo i plac chorążego musiał opłacać przedtem, gdyż mu tak odrazu na kapitanję skoczyć nie pozwolono. Ucieszyłem się, że ceny nie przesadne i że choćbym był zmuszony rangę kupić, toby mi to mieszka tak srodze nie poderwało — ale mnie Deibel praw i zwyczajów wojskowych w Polsce *perfecte* świadom, wnet w tej wesołości umitygował, tak mi tłumacząc:

— Nie baw się ty bracie nadzieją bezpłatnego wakansu, bo o to chodzić trzeba przykremi drogami, a tak długo, że cię ochota minie. A choć nakoniec jakiej wakancji dopadniesz, to ci się to na nic nie przyda, bo będzie to zapewnie jakowaś ranga od «pustego regimentu». Byłeś ty, panie kamracie, w innem wojsku i inaczej się na ten stan patrzysz, abyś miał być oficerem od słomianego pułku. Radzę tedy, nie czekaj, nie chodź i nie suplikuj, a kup. Potem jeszcze będziesz miał czas prosić, gdy awansować zechcesz. Co zaś do ceny, to nie bierz tego za miarę, co Wedelsztedt zapłacił, bo najpierw Wedelsztedt trafił na

kapitana, co sprzedać musiał jak najprędzej, a powtóre, bo rangi w piechocie tańsze są niż w kawalerji, a ty podobno już z koniem się nie rozstaniesz. Owo masz tedy wiedzieć, panie bracie, że stopnie teraz są droższe niż kiedykolwiek bywały, a to z takiej racji, że sejm ma wojsko lepiej opatrzyć i laffę hojniejszą obmyśleć. Dawniej szefostwo pułku 180.000 zł. kosztowało, i to już bardzo słono było, a teraz książę Józef Lubomirski za szefostwo piątego pułku przedniej straży dał 270.000, a jeszcze mu kazano szwadronowego dorzucić całych 16.000. Pan Karwicki za szefostwo pierwszego pułku kawalerji lekkiej imienia królowej wysypał na stół 10.000 dukatów, jakby orzechów. A z mniejszemi rangami przy zachowaniu proporcji takoż nie inaczej. Ja sam stargowałem przed dwoma laty dla jednego z mych znajomych podpułkownikowstwo za 42.000 zł. i to w trzecim pułku Buławy Polnej, a teraz za nędzne rotmistrzowstwo trzeba stawić 30.000. Bądź więc na to wyperswadowanym, a patrz jeszcze, by cię nie oszukano, bobyś ty sobie łatwiej braciszku dał radę na jarmarku końskim, niż na tym targu złotych bandoletów...

— Powiedzże mi, kapitanie, — rzekłem do Deibla — jak się tu dowiedzieć o jakim stopniu rotmistrzowskim, co jest do sprzedania, bobym już kupił sobie szwadron? Dzięki Bogu stać mię na to.

— Jest tu — rzecze na to p. Deibel — faktor wojskowy, czyli jako się sam zwie «rotmajster i agent militarny wszelkich najjaśniejszych dworów europejskich». Nazywa się Borawka, a jakim on tam jest rotmajstrem, to ja już tego nie wiem, podobno tego mocarstwa na mapie nie znaleźć,

do którego armji onby należał. Ale to pewna, że bez niego rady sobie nie dasz, chyba, żebyś czekał na jaką szczęśliwą okazje, a na to spuszczać się trudno. Bądźże ty tylko na ostrożności, kiedy z tym Borawką traktować będziesz, bo to szachraj jest i niecnota, lis szczwany, i niejednego już wywiódł w pole.

Ledwie tych słów domówił, gdy nagle wpadł do winiarni człeczek małego wzrostu, mizerny, z dużą, bundziucznie w górę zadartą czupryną ryżej barwy, z nosem dużym i oparzystym. Ubrany był w żółty, wytarty kontusik, a przepasał się okrutną szablą, niemal tak szeroką i dużą, jak on sam, a z gifesem i furdymentem takim, że miałaby się czego jąć pięść jakiego Goljata. Na śmiech się zbierało, patrząc na tego człowieczynę, choć znowu z drugiej strony coś odpychało od tej figurki, bo migotała oczyma tak chytrze i zdradziecko, a uśmiechała się tak obleśnie i nikczemnie, że mimowoli człek sobie przypominał ową łacińską przestrogę: *Hic niger est, hunc te caveto!*

Wleciał jak wrzeciono i zasapany, a z straszliwym brzękiem szabliska i zaraz przy drzwiach począł strzelać dokoła oczyma, wołając przytem z całego gardła:

— Mościpanowie oficerowie! *Meine Herren Offiziere! Messieurs les officiers!* Rotmajster Borawka, agent militarny wszelakich najjaśniejszych dworów europejskich sumituje się Waszmościom wszystkim i ofiaruje usługi swoje. Czołem Mości panowie, czołem! Mam różne rangi, powierzone mi na przedaż w konfidencji, mam regestr wakansów najlepszych, pośredniczę w konfirmacjach, ułatwiam zmianę regimentu za regiment, autoramentu za

autorament. Wszystko to czynię z honorowej gotowości, po uczciwem koleżeństwie... Mam także śliczne konie po niesłychanie taniej cenie, wyraźnie jakby kradzione, Mości panowie oficerowie! Przypominam się, Mościpanowie, i proszę o względy; nikt tak nie usłuży jak rotmajster Borawka. Rząd suty, srebrny, husarski! Kto kupi rząd srebrny? Dam za bezcen! Buzdygany kameryzowane, blachmalowe, marcypanowe dla poważnych znaków! Mam ja za półdarmo! Czepce, siatki, egretki, karwasze żelazne, polerowane jak zwierciadła? Prawie to rozdarowuję.

Tak pytlował ustawicznie, chodząc między stoły i kłaniając się na wszystkie strony. Deibel wskazał mi nań i rzekł:

— Oto masz Borawkę, pomów z nim, ale radzę raz jeszcze, ostrożnie. My z Wedelsztedem wyjść musimy na chwilę, ty zostań tu i czekaj nas, nie kończąc interesu.

Gdy się tak z Deiblem żegnam, on bierze mnie na stronę i mówi:

— Mój bracie drogi, muszę cię przestrzec. Mówiłeś mi, żeś Prusakom uciekł poprostu, więc czemu nosisz twój mundur? Wiedzże Waszmość, że cię tu agenci i werbownicy pruscy, co się często po całym kraju snują, kiedyś porwać gotowi...

— Co? porwać mnie z własnego wolnego kraju? — rzekłem — a toćby to już sromota była i gwałt niesłychany... Radbym ja tu widzieć tego, coby mnie tu napastować się ośmielił.

— Nie mów Waćpan wiele, — rzecze na to Deibel — bośmy już na takie rzeczy sami patrzali. Żeby to gwałt był,

to prawda, ale tu w Polsce rząd słaby, a bezpieczeństwo publiczne niewielkie. Czy to ty nie wiesz, że kilka lat temu barona Trencka, kiedy zbiegł na ziemię polską, trzykroć wysłanniki pruskie chwytały; dwa razy z ciężką biedą im uszedł, a za trzecim razem w Gdańsku dostał się im w ręce i teraz mizernie gnije w lochach magdeburskich.

Zrobiły te słowa na mnie impresją, i skonfundowały potrosze, bo istotnie tak się rzecz miała, jak mi to wiadomo było. Tego Trencka sam raz w Poczdamie widziałem, śliczny to był młodziutki oficer. Padło nań podejrzenie, że się znosi z owym drugim Trenckiem, swym stryjaszkiem, co to nam tak srodze podczas ostatniej wojny dokuczał cesarskiemi pandurami. Zamknięto go do twierdzy Glatz, a on umknąwszy stąd, długi czas w Polsce i w Rosji przebywał, aż go Prusacy, gwałt popełniając na polskiem terytorjum, w Gdańsku porwali.

Rychło wszakże złą myśl wybiłem sobie z głowy, bom już tego ani chciał przypuszczać, aby na mojej skórze tyle zależało Prusakom, iżby mnie aż tu w dalekiej Polsce łowić mieli. Zaśmiałem się tedy i ścisnąwszy dłoń Deibla, rzekłem:

— Owa! Niestraszny mi tu już ani mój oberster Koggeritz, ani nawet sam król Fryc, a tych wysłanników pruskich, coby mnie aż tu szukać mieli, roznieślibyśmy tu w Radomiu na szablach. Król Fryc ma długie ręce, to prawda, ale mu aż tu do mnie palców nie starczy!

Odwróciłem się teraz do owego rotmajstra Borawki i chciałem zacząć o interesie — aż tu nagle z okrutnym krzykiem, z junackim śmiechem i marsowym brzękiem

wpadło do izby trzech towarzyszy chorągwi pancernej, przy szablach i srebrnych sajdakach, które na on czas jeszcze jako symbol starożytny rycerski noszono. Wszyscy trzej byli to ludzie niemłodzi, ale wpadli z junacka i z rwetesem, bo już snać dobrze czupryny podegrzali węgrzynem. Mój Borawka ledwie ich ujrzał, nuż do nich zaraz w ukłony i zalecanki, na nikogo już więcej nie patrząc — tak, że *volens nolens* musiałem zaczekać i usiadłem sobie w kącie, dopóki ten najazd pancerny nie wyleci jako przyleciał.

W winiarni nie było już nikogo, prócz towarzyszy, Borawki, i dwóch jeszcze osób. Z tych dwóch osób jeden był jakiś młody oficer w mundurze regimentu dragońskiego pod komendą JMP. generała Wielopolskiego, młodzieniec dziwnej urody, blady, czarnowłosy, chłopię, za oczy pociągający. Siedział zasępiony czegoś bardzo, głowę na ręku oparł i tak w ciężkim frasunku zdawał się być zatopionym. Drugi, co siedział w przeciwnym odemnie kącie, był to staruszek już bardzo zgrzybiały, w peruce dużej, zaschły, zawiędły, i bardzo niepokaźnie, a po niemiecku ubrany.

Kiedy ci trzej towarzysze tak wpadli do winiarni, poczęli zaraz krzyczeć, aż szyby brzęczały:

— Mursz, hej! sam tu Mursz! Dawaj wina szczecińskiego, a jak nie masz, to muszkatela, ale żwawo, bo cię przepędzę!

Mursz się zwinął na piętach, a za chwilę stanął na stole cały szereg butelek. Jeden z towarzyszy, chłop sążnisty, łysy, z karmazynowym nosem i wąsem, gdyby wiecha, ze szramą na łbie, jakby go pługiem przeorano, rozglądnął się

po izbie, a ujrzawszy tego staruszka, stuknął butelką i zawołał:

— Sam tu, Niemcze! Na masz, wypij, gębę otrzyj, podziękuj i ruszaj sobie, bo tu panowie piją!...

Staruszek, który sobie siedział spokojnie, Bogu duszę winien, wstrząsł się cały, poczerwieniał, i gniewnie na pijanego spojrzał; potem zaś, jakby się inaczej namyślił, udał, że niby nie słyszy, i przez okno na ulicę wyglądać począł.

— Ano, słysz ty! stary capie niemiecki! — huknie sobie jeszcze głośniej pan Towarzysz, — kiedy pić nie chcesz, to się na sucho wynoś, albo cię przez okno wyrzucę!

I jakby chciał wykonać tę groźbę, porwał się z zydla, choć go tamci mniej pijani powstrzymywali, mitygując łagodnie. Zindygnowała mnie ta obelga dla starca spokojnego, którego miałem za chudzinę i cudzoziemca, więc wstaję z mego miejsca, idę ku staruszkowi, i siadając przy nim, tak mówię:

— Ten pan tu ze mną przyszedł; jak zechce pić, to sam sobie podać każe, a jak zechce wyjść, to wyjdzie, kiedy mu się podobać będzie, a ktoby miał co przeciw temu, to niechaj ten wie, że nie on sam jeden szablę nosi. Waszmość zaś nie po kawalersku sobie poczynasz, że siwego włosa nie szanując, spokojnych turbować się nie wahasz.

Gdym te słowa wyrzekł, ów stary jegomość spojrzał na mnie ostro i rzekł:

— Dziękuję Waćpanu za opiekę, ale ja jej nie potrzebuję, ani nie proszę o nią Waćpana. Nie frasuj się Waćpan o mnie, już ja się tego rycerza z pod wiechy nie boję.

Ozwawszy się takiemi słowy, starzec ów wyciągnął z kieszeni dwa małe, ślicznie oprawne pistolety, kurki odkręcił, na stół je rzucił, a potem założywszy ręce, spokojnie siedział.

Pan Towarzysz tymczasem już chciał szabli dobyć, ale tamci za poły go trzymając, na zydel posadzili, pod nos mu pełną szklanicę pchając, a «Wiwat, twoje zdrowie Jacku!» ustawnie wołając. On, poczuwszy zapach wina, szklanicę podaną jednym haustem wypróżnił, i jakby o starym zapomniał, ku mnie się groźnym wzrokiem zmierzył. Nie byłem ja nigdy zawadjaką i burd pod wiechą robić nie moim było zwyczajem, alem też nie był tchórzliwego serca i lada jakiej przegróżki junackiej nigdym się nie uląkł — to też wytrzymałem wzrok okrutny pana Towarzysza, i tak ostro patrzymy dobrą chwilę oko w oko, on na mnie, ja na niego, ani słówka przytem nie mówiąc. Sprzykrzyło się to panu Towarzyszowi, bo naraz butnym głosem tak mówi:

— Słuchajno Wasze, a z jakiego to Wasze regimentu? Czy nie od dragonów?

— Zgadłeś Wasze — odparłem — jestem od dragonów...

— Tedy od lekkiej kawalerji! — zawołał ze śmiechem p. Towarzysz — cha! cha! od lekkiej, od lekkiej, Mospanie! cha! cha!

— Od lekkiej, od lekkiej — powtórzyłem spokojnie — ale czemu to Waszmości tak śmieszno?

— A to chyba Wasze nie wiesz, — mówi on z ciągłym śmiechem — czemu to dragonów lekką kawalerją zowią? Hę? nieprawdaż, że Wasze nie wiesz, ale ja mu to krótko

wyjaśnię.

I oglądając się po obecnych tak się ozwał do mnie:

— Owoż masz Wasze wiedzieć, że tak o tem jest napisano:

Czem dragońskie chorągwie lekkie nazywają?
Bo zawsze c i ę ż k o biorą, l e k k o uciekają...

Śmiech okrutny powstał w całej izbie, a osobliwie z triumfem śmiać się zaczęli panowie pancerni. Czekam ja aż się uciszy, a gdy się już trochę śmiać ustano, mówię:

— Uważajże Wasze, panie Towarzyszu, abym cię także nie wziął w dragony...

— Owa, a jak to Wasze rozumiesz?

— Oto tak, abyś Wasze *ciężko nie wziął, a lekko nie uciekł*.

I machnąłem dłonią znaczącym gestem, spuszczając ją na gifes szpady. Śmiech się teraz obrócił jak wiatr, mnie wiał w plecy, a jemu w same oczy. Zczerwienił się jeszcze bardziej pan Towarzysz, nadął się i mówi już ze srogim ferworem:

— Słyszno Waszmość, panie dragon!

— Do usług, panie Towarzysz!

— Widzisz Waszmość tę szablę — ozwał się p. Towarzysz, uderzając po furdymencie, aż w sajdak zadzwoniła.

— Widzę, Mościpanie, widzę, nowiuteńka!

— A wiesz Wasze, co na niej napisano?

— Waszmość tylko zawsze z tem wyjeżdżasz, co gdzie

stoi napisano, — mówię mu na to — a moja szabla sama pisze, powiadam Waszeci, tnie abecadło po łbach jak bakałarz!

— Patrzże Wasze, abym ci nie wytłumaczył raz jeszcze, co stoi napisano — wrzeszczy, tracąc kontenans coraz bardziej pan Towarzysz, i tłukąc raz jeszcze pięścią po pochwie. — Na tej klindze taka dewiza:

Szach! mach!
Sieję strach!

— A na mojej — mówię na to spokojnie — napis opiewa trochę inaczej i bardziej *modeste*, Mościpanie Towarzysz! Na mojej szabli takowa dewiza:

Nie włócz mnie bez honoru,
Nie dobywaj bez racji.

— A kto tam wie, kędy ją Wasze włóczyłeś — rzeknie na to pan Towarzysz, coraz większą pasją się unosząc — a co do racji, to ją dam Waszmości zaraz. Wiesz Wasze, z kim mówisz? Jestem Jacek Szturrawski, przez dwa *r* trybem starożytnym, herbu Rawicz, z Dobrzyńskiej ziemi...

— A ja jestem Wit Narwoj, przez jedno *r*, ale takie stare jak Waścine obadwa, herbu Kościesza, z krakowskiej ziemi.

— Patrzże Waćpan, p. Narwoj, abyś czego nie narwał...

— Ejże, zwolna, Mości Szturrawski, by cię nie poszturkano!...

Na te moje słowa już p. Towarzysz nie mógł zmoderować swojej okrutnej pasji, ale porywając się z zydla dobył szabli i wali na mnie obcesem. Ci dwaj, co z nim przyszli, już go nie miarkowali jak przedtem, ale

zagrzani trunkiem i obrażeni despektem, który spotkał ich towarzysza, nuż także do szabel i hejże na mnie!

Ledwie się umknąłem na bok przed pogańskiem cięciem onego pijanego Goljata, który, nim ja szpady dobyłem, już mi szablą gwizdnął ponad głową. Gdyby nie szybki skok na bok, byłby mi niecnota łeb rozpłatał z kretesem, tak że już i felczer nie byłby nic na mnie zarobił. A tak szabla uderzyła z straszliwym impetem w stół dębowy, aż trzaski poleciały — a ja tymczasem, dobywszy mojej szpady, byłem już w pogotowiu.

W tejże chwili ów młody oficer, o którym wspominałem, przyskoczył do mnie, a dobywając szabli, zawołał:

— Ja z tobą, panie oficerze! Tylko ostro, a nie damy się tym pancernym panom!

Tymczasem ja odbiłem drugie cięcie Szturrawskiego, a odskakując wtył i stawając w pozyturze, tak się do moich napastników odzywam:

— Hola! Mościpanowie! hola! Nie po rycersku to i nie po szlachecku w trzech nastawać na jednego! Ja zwad i awantur pod wiechą niezwykły, alem do rozprawy honorowej gotów zawsze, jak przystoi szlachcicowi i oficerowi! Alboż nie wiecie Mościpanowie, że to gardłowa sprawa, dobywać pałaszy tu w obliczu komisji wojskowej! Jam nie ekscesant, i kryminału popełniać nie chcę, ale bronić się będę, a jak do czego przyjdzie, to nie ja dam gardło lub *modo canino* deprekować będę, ale ten, co kość rzucił pierwszy!

Poparł mnie w tej perswazji mojej ów nieznajomy młody oficer, wołając:

— Zawadza wam głowa na karku, Mościpanowie! Owo pilnujcież, abyście się nie otrzeźwili *in fundo*, albo pod mieczem katowskim! Ksiądz biskup Załuski[1] twardą ręką trzyma dyscyplinę; na rozum to sobie weźcie... Ja tu tego oficera nie opuszczę, choć go znać nie mam honoru, i kto wie, jak Waćpanowie z tej przygody wyjdziecie — ale hauptwach niedaleko, a rontu co jeno nie widać!

— Kto do mnie ma jaką urazę, ten mnie znajdzie! — rzekłem ja znowu — satysfakcję mu dam uczciwą, jakiej tylko pożądać będzie, ale nie tu pod jurysdykcją trybunalską, jeno za miastem, poza terytorjum komisji!

Trafiły te argumenta do dwóch nieco trzeźwiejszych jeszcze towarzyszy, toż chowając pałasze, wzięli p. Szturrawskiego za ręce i przytrzymując go przemocą, perswadować poczęli:

— Jacku, dajże ty pokój dzisiaj i nie rób tumultu. Już ty mu jutro tak łeb utniesz, jak dzisiaj, ano i lepiej jeszcze! Ułóżmy pojedynek, niech ten Niemczyk potańcuje młyńca z nami, a będzie mu kwaśno.

— Komu tam z nas kwaśno będzie, temu dajmy pokój, — rzekę ja teraz — w ręku to Boskiem leży, ale jaki pojedynek Waszmoście zaproponujecie, taki przyjmę; z jednym, z dwoma, a choćby z wszystkimi trzema, za jedno mi to będzie, bo się was wszystkich nie boję!

Pochowaliśmy szable do pochew, a ów pan rotmajster Borawka, który kiedy już na gołe łby iść miało, gdzieś do alkierza się schował, wbiegł teraz nieproszony, i narzucając się na bezparcjalnego świadka, począł razem z nami pojedynek ów układać, przyczem, co mnie niepomału

zdziwiło, na moją stronę ciągnął, bardzo obleśnie i z wielką wrzekomo kordjalnością mnie się zalecając. Jak na to, przyszli teraz do gospody Wedelsztedt i Deibel, a dowiedziawszy się o wszystkiem, zaraz mi się za sekundantów służyć ofiarowali. Tak tedy ułożono, abym się potykał na rękę z wszystkimi trzema pokolei, jeślibym z pierwszego spotkania cały wyszedł, i aby ten pojedynek odbył się pół mili za miastem, koło dwóch rozwalonych wiatraków, które tam stały. Ja domagałem się koniecznie, aby się z tem wszystkiem sprawić dziś jeszcze, nie odkładając na później, ale ów intruz Borawka, jakże począł perswadować, jako jutro i pojutrze ważne są sesje w komisji, i jako traktowane będą z regestru najważniejsze sprawy, przy których panowie pancerni będą musieli być *praesentes* — tak musiałem przystać na to, że się rąbać będziemy dopiero pojutrze popołudniu.

Skończywszy tę niemiłą transakcję, podziękowałem ja onemu młodemu oficerowi od dragonów Wielopolskiego, co tak szlachetnie w tej przygodzie po mojej stanął stronie, i ściskając mu dłoń serdecznie, rzekłem:

— Panie oficerze! Dziękuję ja Waćpanu uprzejmie za kawalerską i honorową przysługę, którą Waszmość mnie nieznajomemu wyświadczyłeś. Liczże Waszmość na mnie w równej przygodzie, stanę ja wtedy przy tobie, jak ty mnie stanąłeś, boć może jeszcze spotkamy się kiedy.

On tych słów z roztargnieniem słuchał i tylko mi rękę uścisnął — a ciągle czegoś z wielkim frasunkiem na Borawkę patrzył, który znowu stronił wyraźnie od niego. Już wychodząc, widziałem, jak młody oficer Borawkę na

ustęp wziąwszy, o coś go okrutnie prosił i jakoby zaklinał, bo mu to z twarzy i z oczu, w których łzy się kręciły, widać było. Borawka zaś słuchał tego obojętnie i jakoby się eksplikował. Nareszcie młody oficer rzucił spojrzenie tak pełne gniewu i desperacji na Borawkę, że ten aż się w kąt zrejterował, przyczem doleciały mnie słowa «podły infamisie», którym to komplementem poczęstowany został JMĆ pan rotmajster i agent militarny.

Młody oficer, blady jak upiór, z gwałtowną desperacją na twarzy, wybiegł na ulicę, a pan rotmajster Borawka, połknąwszy gładko ów despekt — snać już miał żołądek strawny na takie kondymenta — uśmiechnął się, wzruszył ramionami i za mną wybiegł. Jakoś już zgóry ten p. Borawka nie bardzo mi się podobał, i nawet repulsję jakąś od tego człowieka czułem, a po owej scenie z młodym oficerem tem mniej miałem ochoty radzić go się w moim interesie — gdy on sam dopędził mnie na ulicy i mówić do mnie zaczął:

— Słyszałem Mościpanie rotmistrzu... — począł z miną usłużną i obleśną.

— Jam nie rotmistrz, — odrzekłem — a porucznik tylko.

— Aleś Waćpan godzien być rotmistrzem i będziesz nim zaraz, bylebyś Waćpan wszedł w interes ze mną... — odpowiedział, nie tracąc kontenansu Borawka.

— Jakiż to interes Waszmość mi proponujesz?

— Mam kapitanję do sprzedania, panie rotmistrzu, doskonałą, wyborną kapitanję, nie tytularną, nie *agreże*, ale z szwadronem, w regimencie pięknym, pod bokiem królewskim i pod szefem, który o regiment swój dba, jak o

młodą żonkę! Takiego wakansu Waćpan nie upolujesz w Polsce, choćbyś na to łożył największe pieniądze. A konfirmować Waćpana w nabytej u mnie randze zaraz będą, bo wszakże Waćpan wprost z pruskiego wojska przybywasz, a szef owego regimentu bardzo ceni oficerów pruskich. Waćpan niedawno z Prus, panie Narwoj?

— Niedawno — odrzekłem krótko.

— A wolno wiedzieć: za permisją tylko, czy za abszytem? — zapytał Borawka i małe jego oczka chytrze się na mnie zwróciły.

— Za abszytem — odparłem, choć jak wiecie nie było to prawdą.

— No to nie puszczajże Waszmość szczęśliwego trafunku, który ci się sam przeze mnie nawija i bierz Waćpan mój wakans, dopóki cię kto nie uprzedzi.

— W którymże to regimencie, panie Borawka? — zapytałem.

— W regimencie JMĆ pana Koniuszego Wielopolskiego. Śliczny wakans, pyszny wakans! Takie wakanse piechotą nie chodzą!

— Ileż Waszmość chcesz za tę rangę?

— Wierzaj mi Waćpan, klnę się na parol honorowy, jakem rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, że na tem zarobić nie chcę. Miałem w tym pułku przyjaciela, który nagle wyjechać musiał zagranicę, a nie miał kupca naprędce, więc mu przysługę zrobiłem, odkupując mu stopień. Dałem 30.000 złotych i tyle tylko odebrać pragnę. Interes czysty, konfirmacja pewna, papiery w porządku, tylko weź! Ale jeden warunek stawię, abyś

Waćpan zaraz się decydował, bo pieniędzy potrzebuję pilnie, a kupców mam dużo!

— To nie dla mnie interes, Mościpanie Borawka! — odrzekłem — jam ubogi oficer, a co sobie z żołdu uzbierałem między Niemcami, to mi na taką rangę nie starczy. Będę ja już inną drogą chodził za wakansem.

— Wiesz Waćpan co? — zawołał Borawka — czym to ja pierwszy raz dopiero na mieszku się podgolił dla przyjaciół? Bogu dzięki nie zginę jeszcze przez to! Co tu stracę, zarobię na koniach, które chcę kupić jutro jeszcze; dajże Waćpan 20.000 i staw gąsior u Mursza!

— Nie dam, bo nie mam; za droga ryba dla mnie; szukaj sobie Waćpan kogo innego! — mówię na to, bo go się pozbyć już chciałem.

— Waćpan nie wiesz, co odpychasz od siebie; chorągiew w dragonji Wielopolskiego między braćmi warta 30.000. Ale już ja chcę się pozbyć tego interesu; dajże Waćpan 15.000 złotych.

— Dam sześć tysięcy złotych! — mówię ja na to dla żartu.

— Dajże Waćpan dwanaście!

— Daję sześć.

— Dajże dziesięć, jeśliś Waćpan nie szalony!

— Daję sześć, i ani szeląga więcej, bo nie mam.

— Za sześć tysięcy Waszmość nawet w pustym regimencie złotego bandoletu nie kupisz! Pamiętajże Waćpan, że będziesz żałował! Dajże osiem!

— Dam sześć!

— Dajże Waćpan siedem!

— Sześć!

— Bodaj Waćpan zabit! Takiś Waszmość twardy i uparty, jakbyś się uwziął na moją krzywdę! Dawajże Waćpan tych sześć mizernych, ale zaraz!

Zdziwił mnie ten targ niesłychanie, bom tylko dla żartu taką sumę stawił, i nigdy mi to ani przez głowę nie przeszło, aby się Borawka na taką niską cenę zgodził. A trzeba wiedzieć, że regiment dragoński Wielopolskiego należał do najlepiej usztyftowanych, i że w samej rzeczy kapitanja z aktualną komendą i szwadronem warta w nim była najmniej trzydzieści tysięcy. Nie mogłem tedy żadną miarą pojąć, coby to znaczyć mogło, iż Borawka za tak bajecznie niską cenę kupno mi proponuje. Jakoż wpadłem na podejrzenie, że to nieczysta jakaś sprawa być musi, i że cały ten targ dziwny na oszustwo jakoweś zakrawa. Mówię tedy do Borawki:

— A masz Waćpan papiery w porządku i ręczysz mi za to, że forsztelację moją podpiszą pan szef Wielopolski i Król Jegomość? Bo jeśli Waszmość myślisz, że mnie na plewę weźmiesz, toś źle trafił, panie bracie; ja wróbel bywały, na lada lep nie pójdę, a jak mi Waszmość *ad oculos* nie wydemonstrujesz, że tu nie o frycówkę idzie, to mnie nie weźmiesz pewnie, o tem Wasze pamiętaj!

On na to pocznie się zaklinać i przysięgać i rozpowiadać szeroko, jako ta cała sprawa jasna jest i czysta jak słońce, i jako ma dokument odstąpienia od owego oficera z okienkiem, w które nazwisko moje tylko się wpisze. Chciał mnie nawet gwałtem wlec do siebie, abym papiery zobaczył, między któremi jest i pismo pana koniuszego

Wielopolskiego, zezwalające na odprzedanie tej rangi. Ledwo się od tego wyprosiłem, aby zaraz w tej chwili nie kończyć interesu, bo bez porady Deibla nic zrobić nie chciałem, bojąc się wpaść w jaką łapkę i być oszukanym przez sprytnego łotrzyka.

I wabił mnie ten interes i straszył; więc chciałem dylacji na dwa dni, aby się wpierwej ów pojedynek odbył z trzem a towarzyszami, z którego, nie mogłem wiedzieć, ażali żyw wyjdę — ale tym razem zaciął się Borawka i za konieczną kondycję stawił, abym się nazajutrz rano już determinował i opłacił. Stanęło tedy na tem, że jutro rano przyjdzie z papierami na moją kwaterę i odmowę lub pieniądze weźmie.

Tak mi ta sprawa kołkiem stanęła w głowie, że zapomniałem nawet o przygodzie, którą miałem z pijanym Goljatem u Mursza, i o pojedynku, który mnie czekał pojutrze. Jeśli Borawka miał papiery co do owej kapitanji w porządku, to było to złoto, a nie interes, i taki dziwnie szczęśliwy trafunek byłby w istocie niepraktykowany. A nuż znowu jeśli to zdrada, a oszustwo jakie? co wtedy? Sześć tysięcy pójdzie na wiatr, a człowiekowi zostanie wstyd tylko, że się dał złapać na taką frycówkę...

Tak bijąc się z myślami, wracam do mojej kwatery, a był już późny wieczór i dobrze się ściemniło. W głowę zachodzę, co zrobić z propozycją Borawki; i tak i tak rzecz sobie tłumacząc, rozmyślam i kombinuję. Postanowiłem też sobie nie dobijać targu, jak tylko w obecności Wedelszteda i Deibla — a zresztą przespać całą sprawę, a rano natchnienia szukać.

Kiedy tak idę powoli do domu, widzę jak jakaś ciemna postać, bo przy zmroku dobrze już odróżnić nie było można, zachodzi mi raz i drugi raz drogę, jakby mi się przypatrzyć zbliska chciała. Z początku nie zważałem na to, ale gdy mi ów nieznajomy trzeci raz zabiegł drogę, a potem zostawszy w tyle o kilka kroków, ciągle za mną szedł dalej, odwróciłem się i zatrzymałem na chwilę. Widzę, wzrok wytężając, że to jakiś drab jak dąb, z ogromnemi wąsiskami i z dużą brodą, ubrany tak, jak się ongi ubierali śląscy handlarze bydła, którzy się gęsto po Polsce uwijali. Gdy tak stoję, ów chłopisko wyprostował się jak struna, ręce wyciągnął wzdłuż szarawarów, a przybierając postawę żołnierską przemaszerował krokiem paradnym koło mnie, z respektem i głęboką subordynacją mnie salutując.

Puściłem go naprzód, kapelusza ręką dotknąwszy — a on też dalej poszedł. Nie wiedziałem co to znaczy, że mi ten jakowyś handlarz honor wojskowy oddaje, ale nie myśląc o tem, bo mi ważniejsze rzeczy ciężyły na głowie, poszedłem swoją drogą. Dochodząc już do domu, zdało mi się, że ten sam człowiek opodal stoi, jakby mnie szpiegował. Nie zważałem jednakże na to, ale wszedłem do mojej kwatery, a zapaliwszy światło, począłem się rozbierać, albowiem po dłuższej podróży zmęczony byłem i snu bardzo pożądałem.

Właśnie uklęknąć miałem do pacierza, kiedy ktoś silnie i na trzy tempa do drzwi zapukał. Porwałem się na równe nogi, bo to pukanie jakby zaczarowanym jakim sposobem odrazu mnie przeniosło w owe czasy, kiedy byłem jeszcze w pruskiem wojsku. Tak pukali do drzwi zazwyczaj żołnierze, przychodząc do kwatery starszych; takiego

pukania nasłuchałem się przez tyle lat, kiedy do mnie przychodzili z raportem ordynanse.

— *Herein!* — zawołałem, przystępując do drzwi i przypasując szybko odłożoną już szpadę, więcej z ostrożności, niż z zwyczaju.

Drzwi się rozwarły i do izby mojej wszedł ów nieznajomy handlarz, który mnie śledził był na ulicy. Wkroczył zupełnie po wojskowym trybie, skręcił się w drzwiach w pół zwrotu, odmaszerował naprzód trzy kroki, stanął we front, a nie zdejmując czapki, dłoń do niej na salut przyłożył...

Wypatrzyłem się na niego, jak na warjata, i za takowego na serjo go miałem; — on zaś, nie ruszając się z miejsca, utkwił we mnie oczy dziwnym sposobem, ani słówka nie mówiąc. Patrzyliśmy się tak przez chwilę na siebie w milczeniu, aż on nareszcie się ozwał:

— *Melde gehorsamst, Herr Oberleitnant*...

I tu uciął, dalej słówka nie mówiąc. Zniecierpliwiła mnie ta komedja, więc podchodząc bliżej ku niemu, pytam go szorstkim głosem po niemiecku, czego chce i poco mnie nocą nachodzi?

— *Melde gehorsamst* — powtórzył handlarz — pan oberlejtnant mnie nie poznaje, a ja pana oberlejtnanta pokornie poznałem zaraz, i tu za nim pokornie przychodzę, *gehorsamst zu melden*...

Teraz poczne ja przypatrywać mu się bliżej, aż nareszcie dobrze go oglądnąwszy, krzyknę całym głosem:

— *Scherwein! Wachmeister Scherwein!*

— *Hier!* — zawołał w odpowiedź Scherwein, jakby przy

apelu, i nie spuszczając swej służbistej postawy, mrugnął do mnie poczciwemi oczyma.

Był to Scherwein, wachmistrz z mego szwadronu, kiedy byłem jeszcze pruskim oficerem. Poczciwy chłop, dzielny i surowy żołnierz, służbista od trzystu granatów. Był on Ślązak rodem i po polsku mówił łamanym sposobem, bo przez długie lata w wojsku służąc, zniemczał zupełnie. Nazywał się właściwie Czerwień, ale Niemcy po swojemu nazwę jego nicując językiem, w Scherweina go zmienili, (tak jak i mnie z francuska N a r v o y w rangliście pisano i Narwoa wołano).

Ten Scherwein przez dwadzieścia lat służył był już w wojsku, a kiedy ja po owem nieszczęsnem spotkaniu z werbownikami pruskimi przyszedłem do pułku dragonów, dano mnie do szwadronu, w którym Scherwein był już wachmistrzem. W jego to plutonie rozpocząłem moje twarde, żołnierskie rzemiosło, i on mnie uczył mustry i służby. Polubiłem go bardzo, bo mnie łagodniej traktował jak innych, mając miłosierny wzgląd na młodą krew; za to też później, gdym ja już został oficerem, wdzięczny mu umysł zawsze okazywałem, biorąc go w moją protekcję, i nie raz i nie dwa razy od srogiej kary go salwowałem. On też wielce był do mnie przywiązany i byłby się dał porąbać za mnie, bo mawiał zawsze z pewną ambicją:

— Ten pan oficer to jakby moje dziecko; ja go podkarmiłem i wychowałem na wojaka; podemną się on chował i ano patrzcie, jaki mi tęgi z pod ręki wyszedł; bo czy kto tak jeździ, czy kto tak fechtuje się dobrze, i tak służbę zna w całym regimencie, jak on?

Owoż, kto sobie potrafi wystawić moją radość i zdziwienie zarazem, gdym teraz tak niespodziewanie tego Scherweina tu w Radomiu obaczył! Rzuciłem się ku niemu i uściskałem go serdecznie, jak brata — ale uważałem przytem, że on, choć się moim widokiem i dobrem powitaniem ucieszył, przecież był czegoś zafrasowany i jakby nad jakąś bardzo ważną a tajemniczą sprawą zamyślony.

Ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia, pytam się ja Scherweina, co tu robi w Radomiu, czy dawno już z pułku wystąpił, czem się teraz trudni, co tam w moim regimencie słychać? — zgoła obsypałem go pytaniami, jak gradem. On mnie słuchał w milczeniu, a gdy już pytać przestałem, mówi do mnie:

— Panie poruczniku, nie wystąpiłem ja z pułku i jakem był wachmajstrem w dragonach pana grafa Koggeritza, tak jestem i do dzisiaj jeszcze, *gehorsamst zu melden!* Jestem tu tylko na komendzie, i jak mnie pan porucznik widzi, tak jestem w służbowym interesie.

— Jakto? — zawołałem — w służbie tu jesteś, a ubrałeś się jakby handlarz bydła, a cóż to za taki interes służbowy?...

Scherwein zrazu nic nie odpowiedział, ale spuściwszy oczy nadół, kręcił się na miejscu, jakby w wielkiem zakłopotaniu. Po chwili podniósł oczy, popatrzył się na mnie w dziwny jakiś sposób i rzekł:

— A coby pan porucznik powiedział na to, gdyby pan porucznik wiedział, że tu w Radomiu jest nas pięciu podoficerów, samych znajomych pana porucznika, bo

prawie wszyscy z pańskiego szwadronu? Jest tu ze mną i Krug, i Kranzer, i Lipka, i Hollauf. Coby pan porucznik na to powiedział, *gehorsamst zu melden?*

I znowu popatrzył mi bystro w oczy, jakby chciał dojrzeć po mojej twarzy, czy też domyślałem się już zagadki.

— Powiedziałbym, — mówię ja na to — żeście przyjechali na remontową komendę, i że tu konie dla pułku kupujecie, jeno że to zadaleko, bo wiem, że kiedyśmy dla pułku konie kupowali, to zawsze na granicznych jarmarkach. Nie raz i nie dwa razy byłem ja sam na takich komendach.

Scherwein pokiwał głową jakby z nieukontentowania, żem taki niedomyślny, i znowu mnie zapytał:

— A cóżby pomyślał sobie pan lejtnant, gdybym mu pokornie zameldował, że jest tu z nami pan profos Schwedicke, i że tu pod jego komendą zostajemy?

— Jakto? i Schwedicke tu jest? Schwedicke? a cóż on tu robi? — zawołałem z wielkiem zdziwieniem.

Był zaś ten szabs-profos Schwedicke znany w całej prawie armji pruskiej; człek straszny i bez serca, szpieg najsprytniejszy, jakiego kiedykolwiek ziemia na sobie cierpiała. Był on głównie używany do łapania zbiegów, a osobliwie znaczniejszych, i nigdy się prawie nie zdarzyło, aby ktoś, kogo on tropił, salwował się przed krygsrechtem. Zdarzało się to bardzo często, że uciekali z swych pułków nawet oficerowie, bądźto długów narobiwszy, bądźto w inny sposób przeskrobawszy — owoż za którym wysłano tego Schwedicke, ten nie uszedł już nigdy. A był ten Schwedicke jako pies gończy, i węch miał psi zaprawdę. W

rzemiośle swem taki był już biegły i doświadczony, że z pod ziemiby każdego dezertera był dostał. Okrutny był jak zbójca, twardy na łzy i prośby jak opoka; a przekupić się też nigdy nie dał, choćby mu krocie kto ofiarował. Człowiek ten brzydkie swe rzemiosło pełnił z pasją prawdziwą, tak się w niem całą duszą miłując, że kiedy bywało nie miał roboty, bo nikogo mu tropić nie kazano, to chodził w tęsknocie i smutku jakimś ciężkim, a bywało i chorował nawet; aż gdy mu ordynans wydano, odżywał i młodniał, i rad był, a wesół do niepoznania. Nasłuchałem się ja jeszcze w pruskiej służbie rozmaitych opowieści o tym człowieku, o jego przebiegłości i sprycie, o przeróżnych sztuczkach, jakiemi chwytał zbiegów, w obcych krajach ich biorąc.

Gdy więc teraz dowiedziałem się nagle od Scherweina, że Schwedicke jest tu w Radomiu, przypomniało mi się żywo, co mi dziś rano mówił Wedelsztedt, i aby otwarcie się przyznać, mrowie mnie obiegło, choć przecież byłem w domu, u siebie, w ojczyźnie, na wolnej ziemi... Aż mnie wstyd wziął samego, żem się już na samo imię Schwedickego uląkł, to też nie dałem tego poznać po sobie, ale uśmiechając się, rzekłem do Scherweina:

— Toście chyba tu łapać kogo przyjechali, że wami Schwedicke komenderuje! Powiedzże mi Scherwein, na coście i na kogo tu w Polsce parol zagięli?

Scherwein rozglądnął się z miną tajemniczą dokoła, przystąpił do okna, wyglądnął, ażali kto pod niem nie czatuje, a potem zbliżył się do mnie i tak się ozwał:

— Panie lejtnant! Sam to pan poświadczyć może, żem

był zawsze żołnierz wierny, żem służbę pełnił twardo, i że sam pan oberszt nieraz mnie chwalił przed frontem. Żem się nieraz upijał, to już sam ja przyznaję, żem zawadjaka był i burdę często wyprawił, to także prawda — a pan lejtnant najlepiej pono wie o tem, bo mnie nieraz od biedy salwował, swoją protekcją mnie ratując. Nie złamałem nigdy przez całą służbę moją ani razu *befehlu*, a służbowe rozkazanie każde było mi święte, i gdyby mój pan rotmajster kazał mi był strzelać na rodzonego brata, tak na komendę *Gib Feuer!* byłbym palnął, oczy zamknąwszy! Ale pan, panie poruczniku, milszyś mi niż brat rodzony, boś dobrem sercem i poczciwym umysłem mnie biednego królewskiego psa nieraz pocieszył i pokrzepił, nieraz groszem zapomógł, z kajdan uwolnił i od degradacji uchronił. Przylgnąłeś mi pan lejtnant do serca, może i dlatego, żem cię dzieckiem jeszcze do plutonu mego dostał i żem nawykł był do pana, jakby do własnego syna. Owo, panie lejtnant, dla ciebie ja po raz pierwszy służbę łamię, tajemnicę odkrywam i pana obersztera mego zdradzam. *Herr Oberleitnant von Narvoy*, my tu z Schwedickem po ciebie przyszli, *gehorsamst zu melden!*

Cofnąłem się o krok ze zdumienia, i nie wiedziałem nawet, co odpowiedzieć. Poczciwy Scherwein tymczasem tak dalej mówił:

— Kiedyś ty nam, panie poruczniku, z odwachu zniknął, a rotmistrz o tem panu oberszterowi raportował, sądny był dzień w sztabie. Nikt jeszcze nie widział przedtem pana obersztera Koggeritza w takiej okrutnej pasji, jak po tej nowinie. Rzucał się jak szalony, gryzł szpadę, a na nas

biednych drżała skóra. Cały pluton, co wonczas stał na hauptwachu, pod krygsrecht poszedł, pański rotmistrz powędrował do profosa, a i na nas, cośmy nawet o niczem nie wiedzieli, skrupiła się ta awantura, bo w swej niepomiarkowanej pasji pan oberszter tyle kajdan, aresztów i chłost nadyktował na dzień jeden, ile tego przedtem i przez miesiąc cały razem nie bywało. Pochodziła zaś ta szalona pasja z tego, że pan oberszter bardzo sobie był upodobał w panu poruczniku, za najlepszego oficera w pułku go sobie ceniąc; a właśnie tydzień przedtem, kiedy pan zniknąłeś wraz z więźniem z hauptwachu, podał był pana do samego króla na order i forsztelował na rotmistrza... Owo stąd była taka zawzięta furja pana obersztera i okrutnie był gniewny, że się tak zawiódł i przed samym królem skompromitował...

— A niechaj mi pan oberlejtnant wierzy — prawił dalej Scherwein — jako prawdę mówię, a nie żadną płotkę, bo mi to opowiadał oficer z regimentowego sztabu! Panie Narwoj, panie Narwoj, poco tobie było uciekać! Służba twarda, bo twarda, ostra, bo ostra; wszystko to prawda, ale owo dziś byłbyś już rotmajstrem, miał własny swój szwadron i krzyż na piersiach! A czy to nie fortuna, czy to nie piękne opatrzenie i nie ładna ranga, panie Narwoj? A tak, co ty teraz masz, panie oberlejtnant? Wstąpisz ty do tego wojska polskiego, to już nie to samo, co nasze; bo tu u was nikt o żołnierza nie dba, za nic on tu nie stoi i nic nie znaczy, a chyba od śmiechu go mają troszeczkę na pokaz! Lada szlachcic trzaśnie w kark oficera — a ty to znoś, nieboże! Co tu tobie robić, panie lejtnant — a tyś przecie

żołnierzem się urodził! A choćbyś się ty i dochrapał tu czego, to prędzej lub później Schwedicke cię złapie, doprawdy złapie, bo Schwedickeby z piekła dostawił dezertera, choćby go cały hauptwach szatański pilnował; a potem co, *armer Kamrad?* kulka w łeb, i gryźże sobie w młodym wieku ziemię surową!

Trudno było tłumaczyć poczciwemu żołnierzowi, jako mi tu w Polsce milej dźwigać muszkiet, niż na obczyźnie pułk cały wodzić, więc słuchałem go cierpliwie, jakbym się na wszystko pisał, co on mówi.

— Słuchajże dalej, panie Narwoj — prawił Scherwein — co pan oberszter wyprawiał, aby cię dostać. Napisał zaraz do Schwedickego, ale go nie było, bo go wysłano za jakiemś szpiegostwem aż do Węgier. Posyłał tedy innych ajentów i rozpisywał na wszystkie strony pisma, aby cię dostać, bo przysiągł, że nie spocznie, póki cię w swych rękach nie ujrzy. Na nic się to wszystko nie zdało; to też skoro Schwedicke wrócił z wyprawy, zapisał go sobie pan oberszter aż z Berlina i z własnej kieszeni 200 dukatów mu naznaczył, jeśli ciebie dostawi. Owo masz tobie, panie Narwoj. Już ty jego napewno, — bo tego nie bywało jeszcze, aby Schwedicke nie dokazał swego!

— Scherwein, Scherwein! stary ty, a głupi! — mówię ja na to. — Nie bywało, powiadasz, aby Schwedicke nie dokazał swego! Nie bywało, no to będzie; już ja go rozumu sam nauczę; licha on zje, nim on mnie stąd dostanie! Bądźże ty tylko spokojny, poczciwy staruchu, i nie frasuj się o mnie. A zato, żeś mnie przestrzegł, to ci z serca wdzięcznego dziękuję, i jako mógł będę, odpłacę! Niechże

cię teraz uściskam, Scherwein!

Objąwszy poczciwego wachmajstra w ramiona, wyściskałem i wycałowałem go jak brata.

— Jeszczem ja pana porucznika nie przestrzegł o wszystkiem, — ozwał się Scherwein — o najważniejszej rzeczy się teraz dowiesz. Jest tu w mieście jeden mały Polaczek, co z wielką szablą chodzi, i z wszystkimi panami oficerami za pan brat żyje; nazywa się on Borawka. Czy pan zna tego Borawkę?

— Znam go od dzisiaj — odpowiedziałem.

— Owoż panie Narwoj, bądź Waćpan przestrzeżony. Jak pan tego człowieka obaczysz, to na sto kroków wołaj jak na forpoczcie *Haltwerda!* a potem pal mu w łeb jak psu bez pardonu, bo to jest łotr i ostatnia kanalja!

— Skądże go ty znasz, Scherwein? — zapytałem.

— Ja go nie znam, ale wiem, że Schwedicke, jak tylko do Radomia przyjechał, zaraz do niego poszedł i coś z nim długo knował. Zwąchali się oni, jak dwa psy — patrzże tedy panie Narwoj, aby to nie na ciebie było polowanie! A teraz *Herr Oberleitnant*, niech cię Pan Bóg ma w swej opiece. Scherwein zrobił co mógł, Scherwein zdradził swego obersztera, Scherwein z dezerterem się porozumiał; to wszystko prawda, ale miej się ty na baczności, bo Scherwein, jak mu każą rzucić się na ciebie, usta skneblować i okuć, z pewnością spełni komendę. Bywaj tedy zdrów, panie oberlejtnant; a najlepiejby to było i dla mnie i dla ciebie, abyśmy się już nigdy nie zobaczyli, *gehorsamst zu melden!*

I wyprostowawszy się znowu po regule, Scherwein oddał

mi pokłon wojskowy, zrobił zwrot w tył i wymaszerował za drzwi, zostawując mnie w zadumaniu i konfuzji.

Krótko tylko deliberowałem nad tem, co mi począć należy. Będąc już przestrzeżonym, nie bałem się już o własną skórę; bo mi się tu między swoimi łatwo było obronić przed napaścią; chciałem jednak ukarać owych łotrzyków, co mnie aż tu ścigali, dać JMĆ panu grafowi Koggeritz nauczkę, jako w tej Rzeczypospolitej, acz nierządnej i słabej, nie można przecie pruskim oberszterom broić jak w własnym regimencie, a wkońcu niecnocie Borawce skroić taką kurtę, żeby w nią wlazł wraz z swoim żółtym kontuszem i ogromną karabelą, a szpetną infamję swoją nosił na łysinie aż do końca żywota swego mizernego. Że jednak nie byłem jeszcze w zupełności świadom ani praw, ani zwyczajów polskich, i żem nigdy na własnej głowie nie poprzestawał, jeśli rada przyjacielska była pod ręką, więc umyśliłem wyszukać zaraz i Wedelsztedta i Deibla, aby z nimi złożyć naprędce małe *consilium militare*.

Wydobyłem z puzderka moje pistolety, — bo co wiedzieć było, czy mnie ci nasadzeni łotrowie gdzie na ulicy samotnego nie zejdą — nabiłem je ostro, opatrzyłem dobrze zamki, okryłem się płaszczem, a wziąwszy do rąk małą latarkę obozową, wyszedłem z domu na miasto.

Wyszedłszy już na ulicę, dopiero sobie przypomniałem, jako nie wiem dobrze, gdzie Deibel kwaterą stoi, bo choć mi o tem mówił, nie spamiętałem sobie dokładnie. Nie chciałem jednak zwlekać narady do rana, puściłem się tedy na miasto, aby koniecznie o Deibla się wypytać. Część

miasta, w której Deibel mieszkał, wiedziałem — puściłem się więc w tę stronę. Noc była już ciemna, bo było to jeszcze za dni krótkich, a mizerne ulice mieściny puste były i ciche.

Gdy stanąłem już na ulicy, przy której Deibel miał mieszkać, począłem się rozglądać, czyli kogo nie obaczę, coby mi powiedział, w którym domu jego kwatera; ale ulica była już całkiem pusta i tylko na progu jednego domku siedział jakiś wyrostek. Zbliżam się do niego i pytam, czy nie wie, aby tu gdzie mieszkał jaki oficer, taki a taki.

— Tu w tym domu — mówi on mi na to — mieszka oficer jeden; nie wiem tylko, czy ten sam, którego pan szuka.

Pomyślałem sobie, iż być może, że tu właśnie na samego Deibla trafię, a jeśli to nie on, ale inny jaki oficer, to się od niego łatwo dowiem, gdzie Deibla mam szukać. Nie pytam już tedy dalej, ale za wskazaniem owego wyrostka mijam sień ciemną i wąziutką, staję przed drzwiami, które do tego oficera prowadziły i pukam. Na silne moje pukanie nikt nie odpowiedział; zawahałem się też, czyli wejść czyli nie; ale że interes był pilny, a innej drogi do wyszukania Deibla nie miałem, więc otwieram drzwi, które nie były na klucz zamknięte, i wchodzę do izby.

Naprzeciw samych drzwi widzę młodego oficera, który siedzi wsparty na ręce w głębokiem zadumaniu, a w ręku trzyma pistolet z odwiedzionym kurkiem. Na stole świecił się tylko mizerny kaganiec, więc odrazu twarzy oficera dobrze odróżnić nie mogłem, ale gdy dobrze wzrok wytężyłem, poznałem zaraz, że to mój znajomy z winiarni

Mursza, ten sam młody oficer od dragonów Wielopolskiego, co to w tej przygodzie z panami pancernymi sukurs mi swój ofiarował.

Był blady jak trup, a wejrzenie miał dzikie i desperackie. Czarne jego oczy paliły się jakowymś dziwnym ogniem gorączkowym, usta miał zaciśnięte — a na całej twarzy widać było jakąś straszliwą decyzję. Taki był przerażający aspekt jego cały, żem się zatrzymał, nie wiedząc, czy doń przemówić, czy nie. Nagle jednak, jakby mnie Bóg natchnął, abym tego człowieka ratował, przychodzi mi na myśl, że być może, jako ten nieszczęśliwy na własny swój żywot godzić zamierza.

W tem swojem zamyśleniu i desperackim frasunku nie słyszał mój młody znajomy, że ktoś wszedł do izby, i nie widział mnie, patrzącego nań z serdeczną zgrozą. Zbliżam się tedy za jego plecyma na palcach i chwytam nagle, a silną dłonią, za rękę, w której on trzymał pistolet, wołając przytem silnym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Młody oficer porwał się szybko, na moje pobożne powitanie nie odpowiedziawszy, i patrząc na mnie, chciał wydrzeć ramię swe z mojej dłoni, alem go nie puścił, jakby żelaznym kleszczem trzymając.

— Czego Waćpan chcesz odemnie w tej porze? — zawołał.

Ja na to spojrzałem mu bystro w oczy, milczałem dobrą chwilę, ciągle za rękę go trzymając, a nagle tak zapytałem:

— Co to Waćpan chciałeś w tej chwili z sobą zrobić?

— Co Waćpanu do tego! — mówi on na to.

— Już mi do tego, a z jakiej racji to ci później powiem, ale wyznaj, nie miałżeś teraz grzesznego zamiaru? — rzekłem, wskazując na pistolet z odwiedzionym kurkiem. — Żal mi, ale przypuszczać muszę, że Waćpan chyba życie sobie odebrać chciałeś?

— A gdyby tak było? — zawołał, spuszczając oczy.

— Gdyby tak było, tobym Waćpanu powiedział, żeś Waćpan albo tchórz, albo infamis, albo oboje razem.

Skoczył on na to jak oparzony i woła:

— Hola, panie Narwoj, milcz proszę, bo mogę ja tam pójść z tobą, gdzie sam pójść chciałem!

— A ja nie pragnę tego honoru, panie oficerze, bo ja złych towarzyszy nie lubię.

Młody oficer zdumiony tym moim tonem ostrym i surowym, a pomieszany okrutnie, żem go tak prawie na gorącym uczynku zeszedł, nic nie mówił, jakby szukając dopiero słów do odpowiedzi. Ja tymczasem, odebrawszy mu pistolet, i biorąc go za rękę, uścisnąłem mu dłoń po przyjacielsku, i patrząc mu z serdeczną kompasją w oczy, tak się ozwałem:

— Nie dziwujże się ty, mój kochany bracie, że tak ostrym tonem do ciebie przemówiłem, i nie myśl, abym ja nie komizerował się twemu nieszczęściu, boś nieszczęśliwy, widzę, bardzo nieszczęśliwy, skoro o Bogu zapomniawszy, w zapamiętałości desperackiej na życie własne godzisz — a wszakże tak było, miły bracie?

— Tak... — rzekł on na to i oczy ku ziemi spuścił.

— Owoż widzę ja teraz, — ozwę się na to — że mnie Bóg tu przysłał, abym cię odwiódł od zbrodni i grzechu

śmiertelnego, i wierzaj mi to, kochany towarzyszu, od najszpetniejszej infamji, jakiej się dopuścić może żołnierz i katolik...

— Gdybyś ty był na mojem miejscu — odpowiedział — kto wie, ażalibyś tak samo nie uczynił. Gdybyś ty, mój bracie, znał całą gorzkość mojego położenia, pewniebyś się nie dziwił mojej rozpaczy. Ale już ty mi na to nie poradzisz...

— Czy poradzę, tego ja nie wiem, czy nie poradzę, tego ty znowu wiedzieć nie możesz; ale jeśli ja nieznany Waćpanu człowiek mogę mieć jakie zaufanie u ciebie, to mi się zwierz w twojej aflikcji. Mam dla ciebie wdzięczny sentyment jeszcze od dzisiejszej mojej przygody, żeś tak szlachetnie partyzował za mną, i wierzaj, żem z duszy ci rad nieść pomoc, jeśli to w mocy mojej będzie.

On chwilę milczał, a potem tak prawić począł:

— Nazywam się Jerzy Paszyc i z uczciwej, a nawet niegdyś możnej familji szlacheckiej pochodzę. Mój stryj był podczaszym witebskim, i pomagał matce mojej, która owdowiawszy po moim ojcu, bez żadnej pomocy i fortuny została. Przed kilku laty stryj mój umarł i pomoc ta jedyna ustała. Miałem zawsze wielki pociąg do wojskowej służby i koniecznie chciałem być oficerem. Moja matka, która mnie miłuje bardziej, niżem ja nieszczęśliwy tego godzien, oddała całą resztkę swego mienia, jaką jeszcze z lepszych czasów i z swojej oprawy była uratowała, aby mi kupić chorągiew w pułku Wielopolskiego. Pozbyła się nieboga ostatniego grosza, przeniosła się ze wsi do Warszawy, tu w nędznym kącie zamieszkawszy, a ja wziąłem na siebie

obowiązek święty, z żołdu mego, który w dragonach p. Wielopolskiego i dostatni jest i punktualnie płynie, utrzymywać drogą matkę moją, co wszystko ofiarowała, aby moje życzenie spełnić, sama sobie starość biedną gotując. Zapłaciła moja matka za kapitanję z szwadronem 40.000 złotych — a ja ledwie rok służszywszy, oto teraz w haniebny sposób ją straciłem!...

— Człowieku! — zawołałem — cóżeś uczynił? Jakimże sposobem to się stać mogło?

— Owo słuchaj, Waćpan, jak to było. Nieszczęście chciało, że mnie z pułku tu komenderowano na komisję radomską; bodaj ta godzina trzykroć przeklęta była, w której tu noga moja stanęła. Możeś się już Waćpan przypatrzył, jako tu oficerowie żyją. Jaskinia to kartowników i szalbierzy, na mojej to skórze doświadczyłem. Jest tu niejaki Borawka, którego Waćpan widziałeś zapewne; ten mnie do siebie na wieczór zaprosiwszy, wraz z niejakim majorem Sabi do gry w *passadieci* zasadził. Mam podejrzenie, że na mnie zgóry parol zagięli, bo gdy mi ciągle pić dawano, oni sami ani ust nie zmoczyli. Owo stało się, że przegrałem do majora Sabi 6000 złotych. Nie miałem czem zapłacić, a zapłacić musiałem, bo powiadają mi wszyscy: «dług to honorowy, do trzech dni Waćpan pieniądze masz wyliczyć». Kiedy się tak okrutnie frasuję i w głowę zachodzę, jak tę sumę tak znaczną zapłacić, jawi się Borawka, niby to litując się nad moim ciężkim kłopotem, i ofiaruje się pożyczyć mi 6000 złotych, żądając w zastaw mego patentu wojskowego. Niedoświadczony w takich sprawach, a mocno się trwożąc,

aby mnie za niezapłacenie owego niby honorowego długu nie ogłoszono między oficerstwem za infamisa, jak to kartownicy tu w Radomiu robić zwykli, przyjąłem wszystkie kondycje, jakie mi postawił ów poganin Borawka. Jakby mnie jakowa demencja opanowała, akceptowałem rygor, że jeśli do dwóch tygodni swego patentu nie wykupię, kapitaństwo moje przejdzie na własność Borawki, który go bez wszelkiej z mojej strony pretensji będzie mógł przedać lub dla siebie zatrzymać. Podpisałem na to skrypt w takowej formie, że już niema żadnej apelacji. Uczyniłem to wszystko w nadziei, że się jeszcze odegram, stratę moją powetuję i patent w terminie odkupię. Sprzedałem wszystkie kosztowności, jakie jeszcze posiadałem, zegarek złoty szmaragadami kameryzowany, podarunek ś. p. stryja mego, pana podczaszego witebskiego, sygnet mój herbowy i inne zabytki, które przy mnie jeszcze były — ale zamiast się odbić, przegrałem znowu wszystko — a teraz mnie Waćpan widzisz w srogiej desperacji i w tak mizernem położeniu, że już nie widziałem innego środka, jak w łeb sobie palnąć. Dwa tygodnie owe, w skrypcie Borawki opisane, pozawczora minęły, kapitanja moja przepadła. Rozpisałem ja wprawdzie listy do moich przyjaciół w regimencie, o sukurs ich prosząc, i pewniebym za lada jakie kilka tygodni owych sześć tysięcy wydobył, ale Borawka, twardy jest i głuchy na moje prośby jak opoka, o żadnej dylacji ani wiedzieć nie chce, ale otwarcie powiada, że moja kapitanja już na zawsze przepadła, i że ją lada dzień komu przeda. Owo wiesz teraz Waćpan, jako się ma rzecz cała; osądźże sam, czy mogę ja to przenieść w

rezygnacji, abym matkę moją, co mi ostatnim swym groszem do mojej rangi dopomogła, miał widzieć w nędzy ostatniej, a siebie w poniżeniu, bez uczciwej pozycji i bez sposobu do życia!

Tą naracją swoją tak się biedny Paszyc wzruszył, że twarz dłońmi kryjąc, płakać począł jak dziecko.

— Nie! panie oficerze! — wołał do mnie — idź ty sobie swoją drogą, a mnie w wykonaniu mojej rezolucji nie przeszkadzaj, moje życie nic już nie warte, bo mnie i sumienie gryzie i speransów już żadnych nie mam!

Wtedy ja mu na to:

— Odpowiedzże mi, panie oficerze, na dwie kwestje, które ci postawię, a będę kontent i puszczę cię, abyś sobie szedł, kędy cię twój furor desperacki wiedzie! Czy gdybyś na wojnie stał na swoim posterunku, a nieprzyjaciel cię twardo i okrutnie najeżdżał, powiedz Waćpan, czybyś uciekł z placu, człowiekiem bez serca i męstwa się pokazując?

— Nie, nigdy! — odpowiedział Paszyc.

— Tak się też i ja po Waćpanu spodziewam. Powiedzże mi jeszcze, czy byłbyś ty zdolny takowego uczynku, abyś naprzykład, pożyczywszy od rodzonej matki cały jej ostatni fundusz wdowi, wsiadł w Gdańsku na okręt i do Ameryki sobie popłynął, bez żadnego skrupułu matkę w nędzy zostawując?

— Jakżeż mnie Waćpan tak pytać możesz, toż nikczemnym niegodziwcem nie byłem nigdy.

— Jeśli tak, — rzekę ja na to — to już ja spokojny o ciebie, i wiem, że sobie życia nie odbierzesz, bo toby na

jedno wychodziło, co tchórzem się okazać i matkę rodzoną okraść. A przeciwnie pewny jestem tego, że jako żołnierz serce i męstwo, jako syn wierność, a jako katolik pokorną rezygnację w tej ciężkiej turbacji twojej okażesz.

On na to zamyślił się głęboko, a nic nie odpowiadał. Widząc ja, że słowa moje do sumienia i serca mu poszły, pocznę mu dalej tłumaczyć — a dał mi Bóg wyraźnie tego wieczora taką wymowę i taką moc argumentów, że sam się sobie dziwiłem, skąd mi ta swada tak pięknie płynęła.

— Bądźże Waćpan dobrej myśli, — skończyłem moją perorę — bo choćby ci przyszło dziś jeszcze dosługiwać się na nowo rangi w wojsku, toś jeszcze młody i masz przed sobą wszelkie speranse sukcesu. Jakoś to się ułoży jeszcze; i na Borawkę znajdzie się jeszcze hak jaki, na którym urwis zębami uwiśnie; ale tak odrazu kapitulować, to babska, a nie żołnierska rzecz, panie Paszyc! Gotuje się tu coś i na Borawkę; warzy mu się tu piwko niezłe; jeno poczekaj, a obaczysz, że niezawsze łotrowie triumfują. Bywajże mi zdrów, panie kawalerze, a prawie napewno ufaj temu, że pojutrze jeszcze u Mursza śmiać się będziesz przy dobrem winie z twojej dzisiejszej dziecinnej a bezbożnej imprezy!

On mnie na to ramionami objął i z serdecznym afektem uścisnął, dziękując, żem mu jako anioł stróż stanął w tak niebezpiecznej a fatalnej godzinie. Potem zebrawszy się, zaraz mnie do kwatery Deibla odprowadził i tu się rozstaliśmy.

Dopiero po owej spowiedzi Paszyca skombinowałem wyraźnie, co znaczył ów targ o kapitanję, którą mi Borawka za bezcen narzucał. Wszystko mi się teraz ułożyło w głowie

i stanął mi na myśli cały plan szkaradny, który ten łotrzyk na moją skórę i na mój mieszek uknował. Zdrada wyszła oliwą na wierzch — i już wiedziałem, jaką to sztuką wziąć mnie chce niecnota.

Owo widoczną to było teraz rzeczą, że Borawka był agentem werbunkowym pruskim, jakich temi czasy bywało dużo na polskiej ziemi, i że porozumiał się z Schwedickem, aby mnie tu w Radomiu schwytać i do pruskiej granicy odstawić. Do takich sztuczek podobni łotrowie jak Borawka i Schwedicke mieli już wprawę wielką i szły im one jakby z płatka; pakowali swą ofiarę związaną i z skneblowanemi ustami do krytej fury i wieźli z sobą, dokąd się im podobało.

Gdzie tego koniecznie było potrzeba, tam się znalazło i pismo starościńskie lub marszałkowskie, które zbójcom tym glejt wolny czyniło — ale najczęściej bez tego się obeszło, bo cię nikt w Polsce całej na drodze nie zatrzymał i nie pytał, gdzie jedziesz, a co wieziesz. Z takiej wolności nieograniczonej i z tego opłakanego nieporządku najlepiej opryszki korzystały.

Takim to kształtem i mnie uwieźć chciano. Borawka snać napewno liczył, że mnie wezmą, i dlatego ową kapitanję, którą, jak się to teraz dopiero dowiedziałem, Paszycowi wydarł, po tak niskiej cenie mi przedawał. Myślał sobie infamis: «co da, to da, a zawsze zysk z tego, bo jak kupi rangę, to ją mieć będzie przez dzień jeden, a gdy go Schwedicke weźmie, ja patent sobie odbiorę, a tak i kapitanję i 6000 złotych mieć będę». W taką to sieć mnie złapać miano.

Podziękowałem w myśli Panu Bogu, że mnie swoją najłaskawszą opieką dotąd chronił, i całą zdradę odkryć i przeniknąć dozwolił. Teraz już o siebie się nie bałem, ale chodziło mi o to, aby ów kij, co go na mnie zgotowano, obrócić na Borawkę, i tak sprawą całą zakierować, aby się niecnota w własne sidła ułowił i w tym samym dole leżał, który tak chytrze podemną podkopał. Jakoż wnet stanął mi na myśli plan cały, jak mam sobie począć, aby i Paszyca z rąk szalbierskich salwować, i Borawkę rozumu nauczyć, i owych frantów pruskich, co na moją skórę łakomi, aż tu w Radomiu na mnie się nasadzili, z kwitkiem posłać do pana obersztera Koggeritza!

Deibel i Wedelsztedt, którzy razem stali kwaterą, wysłuchali z wielkiem zdziwieniem mojej przygody, a Deibel tak mi powiedział:

— Widzisz tedy, panie kamrat, jako przy mnie racja była. Miałeś to sobie za strachy na Lachy, kiedym cię przed pruskiemi szpiegi przestrzegał, a teraz owo masz, jaki ci pasztet do zgryzienia dać miano. Łaska to Boża i szczególniejsze szczęście, żeś jeszcze dawnemi laty tak serce tego wachmistrza Scherweina ku sobie skłonił, bo gdyby nie jego przestroga, byłby cię ów pogański syn Schwedicke wziął jak swego. Już ja teraz o ciebie nie troskliwy, bo ano pokażemy im, jak się to tłumaczy polskie przysłowie: «Trzymał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma». Boć oni już pewnie twoją skórę przedają...

Wedelsztedt, jako był człowiek rączego serca i bardzo *animosus*, nie mógł wysiedzieć na miejscu od indygnacji i wołał:

— Miałbym cię bracie za hetkę pętelkę, gdybyś ty ich teraz płazem puścił, tych opryszków pruskich, a już najbardziej tego kanalję Borawkę. Jak tu jesteśmy we trzech razem, tak chodźmy, a przybrawszy jeszcze kogo, zejdźmy to łotrostwo i porąbmy!

— Powoli, powoli! — mówię ja na to — nie bądź Wasze taki gorączka. Sztuką wilki tłuką. Takim kształtem, jakim Waszmość bierzesz się do rzeczy, jeszczebyśmy się mogli znaleźć na gardłowym regestrze.

— Dajmyż tedy znać na odwach — mówi Wedelsztedt — niechaj ich pod areszt wezmą, a potem w loch wrzucą, aby było dla innych *exemplum!*

— Daj tylko pokój temu, — odezwie się Deibel — już ty ich gołą ręką nie weźmiesz, bo z nich każdy śliski jak węgorz. Dasz ich pod areszt — to i co z tego? Mają oni pewnie dobre papiery z sobą, a wykłamią się tak gładko, i wyprą się swojej szkaradnej imprezy tak zręcznie, że zamiast, abyś ty ich przycisnął, to oni tobie nasadzą na zdrowy łeb całą palestrę, o gwałt, o lezję i Bóg wie o co. Już w tem Borawki głowa!

Na taką ich deliberację, występuję ja z moim planem.

— Panowie bracia — mówię im — mam ja gotową receptę. Stanie się i po woli Wedelsztedta, bo bez tego się nie obejdzie, aby po uszach nie wzięli, ale to niechaj będzie epilogus. Tymczasem zaś tak chcę zrobić. Borawka przedaje mi kapitanję, która warta między braćmi 30.000 złotych, za 6.000 tylko, bo pewny już jest tego zdrajca, że i pieniądze i stopień przy nim zostaną. Owoż wiecie co? oto jutro rano ja tę kapitanję kupię. Jak więc Borawka weźmie

pieniądze, wówczas pilno mu będzie, abym dostał się pod opiekę profosa i pewnie na mnie tego samego dnia jeszcze ową zbójecką zgraję nasadzi. Ja tymczasem będę już przygotowany i na dobrej pieczy, bo liczę na waszą przyjaźń, że mnie na każdym kroku eskortować będziecie. Napadną nas gdzie, to się nie damy, a przeciwnie łotrzyków owych nauczymy *mores* po polsku. Wonczas już i z Borawki spadnie maska — i osadzimy go na infamji, jako na to zasłużył. *Tandem* więc kapitanja będzie moja — pan graf Koggeritz mnie nie obaczy — a Borawce będzie piskorz!

Oni obaj mowy mej wysłuchawszy, projekt aprobowali, obiecując mi po przyjaźni, że mnie na krok nie odstąpią, aż dopóki już całkowitego bezpieczeństwa nie będzie. Dobrej myśli wróciłem do domu i spać się spokojnie położyłem, naprzód się już triumfem moim radując. Na drugi dzień jeszczem spał, kiedy mnie zbudziło stukanie do drzwi. Otworzyłem, a do izby wszedł Borawka.

— Przepraszam mocno Waćpana, — pocznie mówić — że go budzę, ale kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, a do Waszmości to przysłowie *acurate* się stosuje, bo zaprawdę, jakem szlachcic i oficer, sam Pan Bóg daje Waćpanu piękną rangę za bezcen!

Ja go przywitałem grzecznie i napozór z szczerą miną, ale pomyślałem sobie w duchu:

— Ranoś ty się i na mnie wybrał, człowieczku, i da tobie Pan Bóg także, czegoś wart, pogański synu!

Nie pokazując po sobie wstrętu, jaki czułem do zdrajcy, pragnę z nim mówić o interesie, a w tejże chwili pojawił się

także Wedelsztedt, którego ja na świadka wczoraj zaprosiłem.

— Pokaż Waćpan teraz papiery, czyli w porządku są, jak należy? — mówimy.

On wyjął z kieszeni dokumenta wszystkie, wydemonstrował i wywiódł całą sprawę dokładnie i o przybicie targu naglił, bo powiadał, że mu spieszno bardzo. Ja dla lepszej symulacji certowałem się jeszcze trochę, niby to chcąc jeszcze coś z ceny poderwać, a w gruncie i sam się już niecierpliwiłem, aby cała rzecz już raz się ułożyła. Patrzał on pewno na mnie, jak na dudka, co na lep lezie — nie wiedząc o tem, że jego samego w sieci biorę.

Dokumenta były wszystkie w najlepszym porządku, tak jak je od Paszyca wziął był onym niecnym zastawem. Doręczył mi tedy Borawka najpierw regres formalny Paszyca, w który moje nazwisko wpisał, wydał mi jego patent, kartelusz żołdowy i inne certyfikaty i opisy, a nadto, jakem tego po nim koniecznie wymagał, oddał także oblig fantowy Paszyca i opisał się rewersem, jako już ani ja, ani antecesor mój, ani też sukcesor na owej chorągwi dragońskiej w regimencie JW. Pana Koniuszego Wielopolskiego do żadnych weksacyj, ani obowiązków pociąganym być nie może — a ja też sięgnąwszy do mieszka, który z łaski pana ojca i brata Andrzeja był zapaśny, wyliczyłem mu 6.000 złotych.

Domagał się zdrajca koniecznie jeszcze, abym mu coś szarfowego nałożył, ale ja tego słuchać nie chciałem, mówiąc mu:

— Kuso mi w mieszku, panie bracie, zabrawszy tych

6.000, już kieszeń moją chudą wypłókałeś Waćpan do czysta. Jak się spotkamy, z pierwszego żołdu dorzucę.

— Dajże mi Waćpan zarobić choć na moderunku; wszystkiego Waćpanu dostarczę, od kapelusza aż do ostróg, i rzuć Waćpan zadatek, bo jadę jutro, a kto inny cię zedrze...

Tak to ten łotrzyk chciał mi gdzieś aż z pod żebra jeszcze grosz jaki wycisnąć, ale się zbyłem wkońcu natręta. Łypnąwszy na mnie swemi zdradzieckiemi oczyma, pożegnał się ze mną i wybiegł szybko.

Skoro już wyszedł, ozwę się do Wedelsztedta:

— Aż do tej chwili byłem bezpieczny; ale teraz, kiedy Borawka wziął już pieniądze, każdej chwili azardować się muszę na zasadzkę, a moja skóra jest pod obławą. Weźże ty, panie oficerze, wszystkie te papiery i tę oto kaletę z złotem, bo co wiedzieć, czy mimo wszelkiej prekaucji nie wezmą mnie żywcem, lub krytym sztychem nie zgładzą. Jużeśmy teraz jakby na wojnie.

Tak rozmawiając o tej całej przygodzie, czekaliśmy aż przyjdzie Deibel, a gdy ten nareszcie się pojawił, wyszliśmy we trzech na miasto. Oprócz szpad mieliśmy wszyscy przy sobie po parze pistoletów, ostro nabitych, a dla większej ostrożności, ja zawsze szedłem we środku, zaś oni obaj po moich bokach.

Chodząc po mieście, bacznie się zawsze rozglądaliśmy, czy też nas kto nie obserwuje szpiegowskim sposobem, ale nic podejrzanego nie widzieliśmy. Ja ciągle uważałem, czy też gdzie Scherweina nie ujrzę, ale mi się nie zjawił nigdzie w mieście. Tak do samego południa nie rozstawałem się z Deiblem i Wedelsztedtem, ale idąc na obiad do gospody, tak

rzekłem do nich:

— Dziękuję ja wam z serca przyjaciele moi, że mnie tak własnem swojem zdrowiem asekurować chcecie, ale to tak być nie może; tożby to śmieszno było, żebyście mi za lajbgwardję służyli. Dziś jeszcze to dzień cały z sobą spędzimy, ale jutro zaraz zrana ja do trybunału i do grodu idę, tam się opowiem, i z łatwością to sprawię, że się polowanie zmieni, bo mi dadzą patrol, a ja tych łotrów sam pochwytam. Niech się potem przeposzczą *in fundo*, a dostawszy na odwachu trochę plag na pamiątkę, niech sobie pójdą z raportem do pana grafa Koggeritza. To mi wystarczy za satysfakcję.

Zgodziwszy się na to, że jutro pójdziemy wszyscy razem do trybunału i po formie zażądamy rygoru przeciw opryszkom, na wolność szlachcica godzącym, udaliśmy się do Mursza na obiad. Tu mi naraz jeden z pachołków winiarnych podaje mały kartelusz opieczętowany, mówiąc: «Wyrostek jakiś dworski z pod Radomia dla pana rotmistrza zostawił».

Zdziwiony, ktoby tu w obcem dla mnie mieście mógł mieć do mnie interes, otwieram list i czytam, jak następuje:

«Kochany kolego i miły panie bracie!

«Traf to dziwny, ale dla mnie nader przyjemny i upragniony, że się tu w własnym kraju niespodziewanie spotykamy. Z takowej szczęśliwej korzystając okazji, przypominam się Waćpanu, jako *olim* dobry znajomy i towarzysz z pruskiego wojska, i proszę Go, byś mnie dziś w Rozworzu, o ćwierć mili

za Radomiem, gdzie u mego wuja, JMĆ Pana Gawińskiego, bawię, dziś wieczór koniecznie nawiedził, na to uprzejmy wzgląd mając, że w przykry sposób na zdrowiu niedyspozytem będąc, sam Waćpana odszukać w Radomiu nie mogę.

Zawsze Waćpana Dobr. miłego mi pana brata i *commilitona* z szczerym afektem przyjaciel i *alter Kamrad*

Major Jasiński.

P. S. Do Rozworza z Radomia przy dzisiejszej dobrej pogodzie spacerem miła a krótka droga, a napowrót, jeśli spieszno będzie, nie nocowawszy wracać, końmi wuja mojego odprawię».

Przeczytałem list ten z wielkiem zdziwieniem, bo istotnie tego Jasińskiego znałem. Było dwóch Jasińskich w wojsku pruskiem za moich czasów; jeden był już pułkownikiem gwardji, kiedym ja jeszcze jako gimejne zaczynał gryźć chleb żołnierski, i ten pułkownik Jasiński, w którego regimencie ów sławny z swych przygód baron Trenck służył, sprowadził był z Polski swego synowca, aby fortuny między Niemcami szukał. Owoż tego drugiego młodego Jasińskiego poznałem był już jako oficera w Poczdamie, a później w jednej z nim brygadzie będąc, spędziliśmy cały długi kampament na Śląsku.

Mogło to być tedy naprawdę, że ten Jasiński pod Radomiem będąc, a o mnie się dowiedziawszy, ten list pisał

— ale zaraz też na myśl mi przyszło, czy to nie pierwsza zasadzka na mnie, aby mnie za miasto samego wywabić. Pokazuję ja kartelusz ten moim przyjaciołom, a Deibel przeczytawszy go, rzecze:

— Owo dali znak o sobie, urwisy! Toć Waćpanu mówić nie potrzebuję, że to jest pisanie Urjaszowe! Chcą cię mieć w polu, panie Narwoj!

— Jakże mam zrobić? — pytam Deibla.

— Nie iść, bo łapka.

— A ja myślę, że pójść, — odpowiem — bo *primo* co wiedzieć, czy to Jasiński istotnie sam nie pisze, a *secundo* jeśli to zasadzka, to dobrzeby ich zejść na gorącym uczynku. A gdybyśmy wyszli sobie tak po obiedzie piechotą ku Rozworzu? We trzech, by nas nie ruszono, a gdyby na nas uderzyli, to się nie damy...

Deibel i Wedelsztedt zgodzili się na to po krótkiej deliberacji; a tak dobrze przed wieczorem, opatrzywszy raz jeszcze pistolety, poszliśmy wolnym krokiem za miasto.

Nie szliśmy jeszcze ćwierć godziny, kiedy ujrzeliśmy na sto kroków przed sobą dużą, krytą furę trzema końmi uprzężoną. Idziemy ku niej dalej, mijając maleńką karczemkę, kiedy naraz kilku drabów wypada z niej na drogę i odtrącając na bok Wedelsztedta i Deibla, na mnie kupą uderza... Anim się nie opatrzył, a już te łotry czepiły się mnie ze wszech stron jak pijawki, a jeden z nich usta mi kneblował.

Byłem zamłodu silny okrutnie i nie tak łatwo kto mi sprostał; skurczyłem się też i zwinąłem się w sobie, a potem nagle z wielkim impetem rozrzuciłem się cały, nogami i

ramionami rum sobie czyniąc, a tak żwawo, że napastnicy owi odskoczyli odemnie, jak piłki... Cożywo odskoczyłem o kilka kroków wtył, prawą ręką chwyciłem szpadę, lewą pistolet, a tu widzę, jak trzech drabów okrutnie cisną szablami na Wedelsztedta i Deibla, którzy nawet pistoletów dobyć nie mogą i tylko szpadami się kryją, jako mogą.

Na mnie zaś sadzi trzech innych, dwóch z pałaszami, a jeden powrozy mając w ręku. Ten trzeci, to był sam Schwedicke. Odskoczywszy wtył, trafiłem szczęśliwie na wierzbę; o nią się oparłszy, z determinacją czekam ataku, a pewno z prawdą się nie minę, jak powiem, że mi markotniej było o Deibla i Wedelsztedta, niż o mnie samego. Ci dwaj z pałaszami, co na mnie nacierali, byli to podoficerowie z mojej niegdyś chorągwi, poznałem ich zaraz, choć przebrani byli w mieszczańskie kapoty.

Spojrzałem na nich ostro i zawołałem po niemiecku:

— Słuchajcie Hollauf i Lipka! (tak się nazywali), ja komenderuję: stać! a jak nie staniecie, to dam ognia, a ty wiesz jeden z drugim, że ja strzelać umiem i nigdy nie chybiam!

Oni się na chwilkę zawahali, ale Schwedicke, dobywszy także krucicy, krzyknął na nich: *Pack an!* Natarli na mnie, a ja do Boga westchnąwszy, że krew ludzką przelać muszę, mierzę w sam chudy łeb Schwedickego i palę. Myślałem, że jak jego sprzątnę, to tamci tak na mnie srodze nastawać nie będą, bo swojej racji ku temu nie mają, a jeno za rozkazem ślepo idą. Mierzyłem niedobrze, bo strzał padł... ale Schwedicke został cały...

Nie miałem już czasu dobyć drugi pistolet, i już

poprzestać musiałem na samej szpadzie. Broniłem się zaciekle, ale przeczuwałem, że mi tu już koniec będzie, bo Wedelsztedt był już rozbrojony, a Deibel z okrutną biedą tylko się odcinał...

Owo już tylko miałem to na myśli, aby się żywcem nie dostać do rąk tych oprawców, ale do ostatniego tchu bronić się i tak umrzeć. Gdy się tak bronię z desperacją, kanalja Schwedicke podsuwa się z swym powrozem poza wierzbę ku mnie; płatnąłem go trochę w odlew, ale ledwie go szpada pomacała, a ja sam tymczasem, żem się był odsłonił, po mankiecie wziąłem od sierżanta Hollaufa, aż mi mało szpada z rąk nie wypadła.

— Strzelaj, kto może! — zawołałem na Wedelsztedta, który rozbrojony, umykając, jak długi się położył.

Na ten krzyk zerwał się Wedelsztedt z ziemi, umknął się dalej jeszcze, i paff! paff! dwa razy palnął do Schwedickego, ale zamiast go ubić, mnie mało życia nie pozbawił, bo kule tuż nad moim kapeluszem w wierzbę powsadzał...

Kuso już było z nami, a najbardziej ze mną, i już wszelkie speranse życia straciłem, gdy oto nagle zasłyszałem tętent konia i okrzyk głośny, potem dwie pistoletowe salwy. Schwedicke zwinął się jak kłębek, rzucił się do góry, zadrgał i jak snop na ziemię się potoczył.

Moi przeciwnicy zatrzymali się na chwilę w swym impecie, snać skonsternowani śmiercią swego herszta. Rzucam wzrokiem przed siebie, skąd mi ten sukurs spadł tak niespodzianie, i widzę pana Jacka Szturrawskiego, Towarzysza pancernej chorągwi, jak siedzi już na karku

tym dwom Prusakom, którzy na mnie nacierali.

Moi Niemcy teraz *fugas*, i nuż się rejterować do owej bryki, która stała opodal — a my sadzimy za nimi. Dopadli przecież owej fury, bo Szturrawskiemu koń się znarowił, a my z Deiblem dogonić ich nie mogli. Jeden z nich odwrócił się ku mnie i kapeluszem się pokłonił. Był to poczciwy Scherwein, do którego ja krzyknąłem:

— A pozdrów tam pana obersztera!

— *Grüss' Gott!* — zawołał Scherwein, jakby nic nie zaszło, i bryka w największym pędzie poleciała dalej.

Kiedyśmy już trochę ochłonęli po tej żwawej potyczce, ja najpierw pobiegłem do Schwedickego, aby obaczyć, czy też ratunku jakiego dać mu nie można, bo chociaż on mnie nieszczęśliwym chciał zrobić, to mi przecież żal było człowieka. Opatrzyłem go i poznałem, że już nie żył — a człek miał w tem trochę praktyki, bo się na to w lazaretach i na pobojowiskach napatrzył.

Zwróciłem się potem ku Szturrawskiemu, który z konia zsiadłszy, jak triumfator pokręcał wąsa, i rzekłem doń grzecznie:

— Mości panie Towarzyszu, podwójnie to szlachetnie ze strony Waszmości, żeś dał sukurs człowiekowi, którego niejako za adwersarza Waszmość uważać masz prawo, bo na nim satysfakcji honoru swego jutro właśnie masz poszukiwać. Przyjmże Waszmość Panie Towarzyszu wyraz najszczerszego afektu wdzięczności, boś mnie z rąk złoczyńców salwował...

Mówiąc to, ręki mu jednak nie podałem, bojąc się, aby obrazy niedawnej pamiętny, dłoni mi swej nie umknął.

— Chwałaż Bogu, — ozwał się na to p. Szturrawski — że to, jak Waćpan powiadasz, łotrowie byli, bo jużem się frasował o to, czym trafunkiem jakim głupstwa nie zrobił... Bo to widzisz Waszmość, już ja taki z przyrodzenia, że kiedy obaczę, że się gdzie rąbią lub biją, to mi tak dłoń świerzbi, że się *volens nolens* wmieszać w to muszę. A potem mówią mi moi przyjaciele: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo!» Niedawno temu na sejmiku powstał tumult, a choć nie wiedziałem o co idzie, dalej między szlachtę z szerpentyną, tego po czuprynie, tego po karku, nie dyscernując, z jakiej tam który partji. Jednemu szlachcicowi nos odciąłem, drugiemu łysinę naznaczyłem, — a potem kłopot, i znowu mówią mi moi sąsiedzi: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo». Innym razem pobili się na jarmarku w Radomiu szewcy, owo licho mnie wzięło...

— Tym razem Waszmość nie zrobiłeś głupstwa, — przerwałem p. Szturrawskiemu — ale przeciwnie dobrą sukursowałeś sprawę.

I tu pokrótce opowiedziałem mu wszystko. Wysłuchał on tego z wielką indygnacją i snać go to mocno uradowało, że tak szczęśliwie trafił.

— Patrzże Waćpan, patrzże Waćpan, co to za wypadek *mirabilis*. A ja właśnie jechałem do Radomia, na ten jutrzejszy pojedynek, i aby z przeproszeniem Waćpana, wytrzepać mu kurtę dragońską, a tymczasem w salwatora się zmieniłem.

Kiedy on to mówi, ja tymczasem czuję, że mi się coś ciepło robi pod karwaszem; ściągam tedy rękawiczkę i patrzę, aż tu karwasz przecięty i z ręki krew mocno płynie.

Dobyłem chustki i obwiązując ranę, mówię:

— Bardzo mi to przykro, że Waszmość intencji swojej jutro zadosyć nie uczynisz, bo owo widzisz Waszmość, pomacał mnie niecnota pałaszem...

— *Est modus in rebus, est modus in rebus* — odparł p. Szturrawski — czytałem ja, czy słyszałem kiedyś, że jeśli się kogo na rękę wyzywa, to dlatego, aby dać dowód rycerskiego animuszu w obronie honoru. Owo jak myślisz Waćpan, czy nie okazałem ja w tej dzisiejszej okazji animuszu, bo że Waćpan sobie mężnie poczynał, kilku drabom dostawszy placu, tom już jako naoczny spektator widział... Chodziłoby jeszcze tylko o obronę honoru... Hm... hm... Mości panie oficerze, ja doprawdy nie pamiętam, jak tam było u Mursza. Tylko mi znowu nazajutrz nad uchem klepali towarzysze: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo!» Oto wszystko, co sobie zmiarkowałem... Powiedz mi Waćpan, kto kogo obraził, i niechaj ten tego przeprosi. Ja nie pamiętam o niczem.

— Kiedy Waćpan nie pamiętasz — ozwałem się ja na to — to i ja już zapomniał, a kiedy już rzecz jaka zapomniana, to tak jakby jej nie było, a jeśli jej nie było, to o co sobie łby rozbijać?

— Wydedukowałeś Waćpan tę rzecz, jak Cycero, albo jakowy inny mądry poganin. Niechże Waćpana uściskam i chodźmy do Mursza! — zawołał p. Towarzysz.

— Nim pójdziemy do Mursza, musimy przedtem wstąpić do tej owo karczemki — ozwał się teraz Deibel — bo i ja lekko raniony jestem, a Wedelsztedt także. A z ubitym Niemcem także coś zrobić trzeba.

Zgodził się na to p. Towarzysz, a tak wzięliśmy trupa i zanieśli do karczemki. Schwedicke miał głowę roztrzaskaną, kula na wylot czaszkę przebiegła. Złożywszy zwłoki na ławie, poszliśmy wołać żyda, ale ten przestraszony, schował się gdzieś w najskrytszą dziurę. Musieliśmy tedy sami szukać wody, aby rany obmyć i jako tako opatrzyć, nim do miasta wrócimy. Wedelsztedt zaglądnął do małego alkierza, a wróciwszy naraz, zawołał:

— Pójdźcież Waćpanowie tu, coś wam pokażę.

Idziemy za nim, a on pokazuje nam parę ogromnych ostrogów, wyglądających z pod betów żydowskich. Chwycił Szturrawski za ostrogi obu garściami, szarpnął — i owo wyciągnął na wierzch, kogo?... domyślicie się już chyba, że Borawkę. Snać pan rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, wybrawszy się na wyprawę wraz z Schwedickem, tutaj zwierzyny ułowionej oczekiwał, a usłyszawszy bitwę, w strachu takowe sromotne *refugium* sobie upatrzył.

Jak nas tylko obaczył Borawka, tak padł zaraz plackiem mnie do nóg, prosząc, bym mu życia nie brał, i tem się niecnota z swego nieczystego sumienia sam zdradził. Ja nie mogłem odmówić sobie tej satysfakcji, że go ostrogą od siebie odtrąciłem, mówiąc:

— Pójdziesz z nami na odwach, psi synu!

Przez cały czas, kiedyśmy nasze rany opatrywali, infamis ów w błocie leżał, o litość prosząc, a zębami szczękając. Gdyśmy już byli gotowi, Szturrawski z ziemi go podniósł i płazem chciał oćwiczyć i ledwie go od tego instancją moją ochroniłem. Przytroczył tedy Towarzysz p. rotmajstra do

konia i tak z sobą do Radomia przystawił, gdzieśmy go zaraz na hauptwach oddali. Następnie do kancelarji komisarskiej razem poszedłszy, wszystko jak było do akt podaliśmy. Borawka poszedł zaraz do wieży, bo przy Schwedickem znaleziono papiery, które szpiegostwo jego i współwinę w tym całym wypadku jasno wykazywały.

Tak załatwiwszy, co było potrzeba, poszliśmy do winiarni Mursza, aby odetchnąć i po tak gorącej przyprawie pokrzepić się nieco. Tu słyszę na wszystkie strony: «Mier przyjechał! Generał Mier jest w Radomiu!» Zaraz mi wpadło na myśl, czyby to nie dobrze było, pójść wprost do generała tego, zaprezentować się i o wakancję jaką prosić. Potwierdzili mnie w tej myśli Wedelsztedt i Deibel, jakoż tak uczynić zaraz nazajutrz postanowiłem.

Tymczasem czekałem jeszcze, czy nie nadejdzie Paszyc, ale gdy już wieczór się zrobił, a jego nie było, pożegnałem obu moich przyjaciół i p. Towarzysza Szturrawskiego i poszedłem do kwatery Paszyca. Zastałem go w wielkim frasunku, tam i sam chodzącego po izbie. Wynędzniał nieborak od ciężkiego zmartwienia i wysechł, jeno oczy czarne paliły mu się jakoby płomieniem, mając aliment swój w desperacji.

— Wiktorja! panie Paszyc! — zawołałem, uderzając go po ramieniu — stało się, jakem Waćpanu przepowiedział, wszystko Pan Bóg na dobre zmienił. Borawka siedzi już *in fundo*, a Waćpan jak byłeś rotmistrzem, tak nim i jesteś, bo owo przynoszę Waćpanu napowrót i patent i oblig i kartelusze żołdowe, a nawet cedułę od Borawki, jako mu się już nic a nic od Waćpana nie należy!

On się wypatrzył na mnie z wielkiem zdziwieniem, jakby mi wierzyć nie chciał, a gdy mu papiery wszystkie do rąk oddałem, stał jeszcze przez chwilę nieruchomy, jak słup, aż nagle, jakby z ciężkiego snu się budząc, z wielkim radosnym krzykiem w ramiona swe mnie chwycił, ściskając a całując. Ja mu dopiero wszystko *ab ovo* opowiedziałem, a on wysłuchawszy z wielką admiracją mojej powieści, z wielkiego ukontentowania i z afektu wdzięczności aż płakać począł, dając folgę rozczulonemu sercu.

Prawie po nogach i rękach mnie całował, dobroczyńcą i wybawicielem mnie swoim mieniąc. Potem znów w ekstrem wpadłszy, srodze lamentować począł, że mi tych sześć tysięcy, które wyłożyłem, wrócić z czego teraz nie ma — ale ja go pocieszyłem, zapewniając go *solenniter*, że czekać mogę bardzo długo i że frasunku o to żadnego do serca przypuszczać sobie nie powinien.

Po tem wszystkiem poszedłem do mojej kwatery, dokąd mi Paszyc zaraz felczera przywiódł, aby mi na moją ranę, która bardzo lekka była, maść i bandaż przyłożył. Nie pamiętam, czym kiedy w życiu spał tak smaczno, jak tej nocy. Czy to bezpieczeństwo, w jakiem się już po rozprószeniu onych łotrów czułem, czy ów dobry uczynek, który dla Paszyca spełniłem, czy też znużenie i upływ krwi, czy też to wszystko razem taki mi słodki sen sprawiło — dość, że dopiero późnym rankiem nazajutrz się obudziłem, pokrzepiony na ciele i z pogodnem sercem.

Zaraz się ubrałem, aby jak to wczoraj postanowionem było, zarekomendować się JMĆ Panu generałowi Mierowi, który tu w Radomiu przypadkiem tylko będąc, już pozajutro

miał wyjeżdżać. Nie chcąc stawać przed nim w ubiorze cywilnym, raz jeszcze ubrałem się w mój mundur pruski, już po raz ostatni w życiu na siebie go biorąc.

JMĆ Pan generał Mier stanął był na zamku, gdyż mu jeden z wojskowych komisarzy kwatery swej ustąpił. Przyszedłszy tam, opowiedziałem się oficerowi, co był przydany generałowi na ordynans, prosząc, by mnie zameldował. Powiedział mi oficer, że JMĆ Pan generał właśnie wybiera się z wizytą do księdza biskupa Załuskiego, że tedy trudno, by mnie chciał widzieć, ale skoro mi na tem dużo zależy, spróbować trzeba. Czekam tedy, niewiele mając nadziei, bym z panem generałem rozmawiał, gdy wkrótce powraca oficer i powiada:

— Panie Narwoj, Jaśnie Wielmożny pan generał prosi Waszmości!

Porwałem się szybko, raz jeszcze po sobie okiem rzuciwszy, czy też przystojnie i po regule wyglądam, i wchodząc do pokoju z zachowaniem całej subordynacji i rewerencji, trzy kroki ode drzwi naprzód postąpiwszy, w pozyturze frontowej stanąłem.

Wilhelm Mier był naonczas zgrzybiałym już starcem, służby już żadnej nie pełnił, ale regiment dragonji, który w bardzo długie jeszcze lata po jego śmierci Mirowskim się nazywał, zawsze pod jego główną bywał komendą i od niego też i forsztelacje i nominacje zależały. Był ten generał Szkot z urodzenia, a do Polski po fortunę przyszedł, a że jej był godzien jako żołnierz wielkiej dystynkcji i bardzo mężnej duszy, więc ją też i znalazł tutaj. W luterskiej religji wychowany i wzrosły, błędy heretyckie rewokował i na

łono Kościoła katolickiego powrócił.

Kiedym stanął w pokoju, on był odemnie odwrócony, tak że twarzy jego nie widziałem. Kończył czytać list jakiś i nagle odwróciwszy się, szybko ku mnie postąpił. Ubrany był w ponsowy frak z szerokiemi złotemi galonami, przy złotym felcechu i szpadzie ze złotym gifesem, a na piersiach miał kilka gwiazd i orderów.

Spojrzał na mnie bystro, a ja też na niego z uszanowaniem spoglądnąłem — i owo nagle od wielkiej konfuzji i zdziwienia aż krew mi uderzyła do głowy i oczy mimowoli ku ziemi spuściłem... Albowiem wystawcie sobie, JMĆ pan generał Mier nie był to kto inny, jeno ów mizerny staruszek, którego ja pozawczoraj w winiarni Mursza w obronę wziąłem przeciw panu Szturrawskiemu!...

Stoję ja tak, jak na gorącym ruszcie, języka w gębie zapomniawszy, i nie śmiem w oczy mu spojrzeć, a on bliżej jeszcze podchodząc, szorstko mnie pyta:

— Czego Waćpan żądasz odemnie?

Na szczęście ochłonąłem już trochę z tej okrutnej kontuzji, tak też śmiało odpowiem:

— Jaśnie wielmożny panie generał-majorze! Żądam najpierwej, abyś JW. Pan generał uwierzyć łaskawie raczył, że dziś po raz pierwszy widzę JW. Pana generał-majora Miera!

— A to Waćpan chcesz, abym wierzył w to, co nieprawda, bośmy się już pozawczoraj widzieli — rzecze on na to.

— To nie był generał Mier, — replikuję na to — ale starzec niepoczciwie obrażony, a daję parol szlachcica i

oficera, że gdyby mi był kto powiedział, że ten starzec w winiarni był dostojną osobą JWielmożnego pana generała, nie byłbym stanął nigdy w tych progach!

— Dlaczego? — zapytał generał.

— Bobyś, Mości generale, mógł wtedy trzymać o mnie, żem jakową komedję odegrał i do faworów Jego sztuczką niegodną wkręcić się zamierzam.

Rzekłszy to z determinacją, salutowałem, i zrobiwszy zwrot wtył, chciałem odejść naprawdę, nie chcąc już o nic prosić generała, aby się podejrzenia takowego nie nabawić. Generał Mier chwycił mnie za ramię i zawołał:

— Stój, panie kawalerze; wierzę w to mocno, co Waćpan tu deklarujesz. W owej przygodzie pod wiechą postąpiłeś sobie jako honorowy kawaler i stateczny oficer, którego respektuję i chwalę. Z miłego serca Waćpanu się chcę przysłużyć, jeżeli w czem mogę; mówże Waćpan otwarcie. Czy Waćpan w pruskiej służbie zostajesz?

— Nie, JW. Panie generale, — odpowiedziałem — otwarcie to wyznać muszę, że widzisz JW. Pan generał przed sobą dezertera, który chorągiew bez permisji i tajemnie opuścił.

Usłyszawszy takie zeznanie, pan generał Mier trochę krzywo na mnie spojrzał i niechętnie się odemnie cofnął. Jam mu żalu za to okazać nie mógł, bom sam całego żywota mojego był tej mocnej i niewzruszonej konwikcji, że żołnierz, co znaki swe opuszcza, na hańbę i sromotną infamję się wystawuje i poczciwość stanu swojego plami. Ale moja dezercja wcale innego była rodzaju, i radbym był widzieć oficera, choćby najstateczniejszym był, a honor

wojskowy w wyższej nad życie swoje miał konsyderacji, ażaliby inaczej sobie począł w takowej rzewnej, a ciężkiej alternatywie, jaką Pan Bóg na mnie biednego był dopuścił...

Proszę ja tedy pokornie pana generała, aby mi łaskawie ucha swego użyczył i rozpowiadam mu po krótkości, jako się rzecz miała w ową na zawsze pamiętną mi wigilję Bożego Narodzenia. On tej historji osobliwej nie bez rzewności wysłuchał, rękę mi podał i tak się ozwał:

— Według naracji Waćpana postępek ten wcale inaczej się ilustruje, niżbym ja był sądzić mógł odrazu — a już najbardziej to Waćpana w opinji mojej rehabilituje, żeś zdradzieckim a podstępnym kształtem i w wieku dziecinnym jeszcze do służby zwerbowany został. Maszże Waćpan jakowe swej służby *testimonia?*

Miałem przy sobie patent mój i kilka certyfikatów regimentowych, w których konduita moja chwaloną była — te mu podałem; on je tylko oczyma przebiegł i tak się ozwał:

— Wiesz, Waćpan, żeś mi się podobał, i że o jego losie chętnie pomyślę. W moim regimencie jest wakancja na rotmistrza, której dyspozycję sobie rezerwowałem; przyjmiesz ją Waćpan?

Gdy mu za taką łaskę moją wdzięczność zamanifestować chciałem, on nie dał mi mówić, ale grzecznie mnie pożegnawszy, popołudniu przyjść kazał. Jakoż gdym się o naznaczonej godzinie u JMĆ Pana generała stawił, adjutant jego doręczył mi patent na rotmistrza w regimencie Mirowskim i ordynans, abym zaraz do Warszawy jechał i w sztabie do aktualnej prezencji się meldował.

Tak tedy na dobre mi wyszła ta komisja radomska, na której zrazu samych tylko przygód i przykrych turbacyj zaznałem, i tak *Anno Domini* 1762 na nowo żołnierską służbę zacząłem.

1. ↑ Ówczesny prezydent komisji radomskiej.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Władysław Łoziński.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Przygoda w Radomiu

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Zdzislaw
- Anwar2
- Alenutka
- Seboloidus
- PMG
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium